tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 18 (1221) ROK XXIV 3 MAJA 1981 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:
O sesji RN m. Łodzi w sprawach kultury ■ Jadzia ■ Komu politycznych? ■ Kamień rzucony w górę ■ Cierpienia młodego C. ■ Rozmowa z Henrykiem Tomaszewskim

1 MAJA

Demonstracja 1-majowa w Łodzi w 1919 r
Fotografie ze zbiorów Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi

Ko-rzenie

Nie czas dziś na pisanie okolicznościowych artykułów. Dlatego nie proponuję Czytelnikowi rozważań na temat święta ludzi pracy — 1 Maja, choć temat to interesujący, jako że kształt obchodzenia święta ludzi pracy stał się wielce kontrowersyjny i budzi różne namiętności. Mam wszakże wrażenie, że jest to zjawisko głębsze niż tylko prosty protest przeciw przerośniętej demonstracji sukcesów, których nie było i przeciw podziałowi na tych, którzy demonstrowali na bruku i tych, którzy przyglądali się temu z trybuny. Według mnie kontrowersje wokół 1 Maja biorą się z ogólnego sprzeciwu wobec naszego dotychczasowego stosunku do przeszłości, do tradycji, z której wybieraliśmy jedynie to, co było wygodne, co było potrzebne dla uzasadnienia aktualnej, pragmatycznej linii postępowania. Było to więc wykorzystywanie przeszłości dla celów doraźnych, a nie dla budowania i umacniania świadomości historycznej narodu, tak przecież mu potrzebnej, jako że żaden naród nie może właściwie funkcjonować i rozwijać się bez takiej świadomości, bez poczucia własnej wartości, którą mu ta świadomość daje.

Dlatego więc zamiast okolicznościowego artykułu proponuję kilka refleksji z naszej zapomnianej historii. A, że jednak okazją do tego jest święto robotnicze, więc i będą to refleksje nad tradycją ruchu robotniczego, ruchu komunistycznego. Chcę przypomnieć Czytelnikom piękną, acz niesłusznie zepchniętą w niebyt narodowej pamięci postać *Marii Koszutskiej*, znanej też jako *Wera Kostrzewa*.

Dalszy ciąg na str. 5

Manifestacja 3 maja w Łodzi w 1916 r.
Fotografie ze zbiorów Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi

Konstytucya

Próba naprawy Rzeczypospolitej, podjęta u schyłku XVIII stulecia przez Sejm Czteroletni, a zawieńczona Konstytucją 3 Maja 1791 roku — należy bez wątpienia do najchlubniejszych kart naszej historii.

Maj 1791 roku nazwali historycy bezkrwawą rewolucją o charakterze demokratycznym, nie mającą odpowiednika w świecie. Rewolucją, która dała pierwszą na kontynencie europejskim ustawę tego typu, dającą się porównać tylko z konstytucją francuską i amerykańską.

Przed Polską otworzyła się wówczas wielka szansa odwrócenia biegu wydarzeń, uniknięcia katastrofy narodowej, odzyskania siły i wielkości, odrodzenia się w państwo niepodległe i niezawisłe. Zbyt wielu jednak miała wrogów polska rewolucja, zbyt wielu wrogów miała Rzeczpospolita. Wewnętrznych i zewnętrznych.

Caryca Katarzyna uznała, że Polskę trawi niebezpieczna choroba, którą — jak pisała 9 maja 1792 roku — należy „zwalczyć i pokonać". Pisała tuż przed wypowiedzeniem „przyjaznej wojny". Wiedziała już wówczas że zostanie poproszona o „pomoc".

W ścisłym przecież porozumieniu z carskim dworem powstawał w kwietniu 1792 roku w Petersburgu akt konfederacji, którą zdrajcy Ojczyzny ogłosili 18 maja w Targowicy.

„A, że Rzeczpospolita podbita — głosili targowiczanie — i w rękach swych ciemiężycielów (ti króla, straży i sejmu — przyp. red.) moc całą mającą, własnemu z niewoli dźwignąć się nie może siłami, nic jej innego nie zostaje, tylko uciec się z ufnością do Wielkiej Katarzyny, która narodowi sąsiedzkiemu, przyjaznemu i sprzymierzonemu, z taką sławą i sprawiedliwością panuje, zabezpieczając się tak na wspaniałości tej wielkiej monarchini, jako i na traktatach które ją z Rzeczpospolitą wiążą".

Caryca czekała tylko tego pretekstu, aby wprowadzić swe wojska do Polski.

Tak oto antydemokratyczna, zdradziecka opozycja magnacka — pod hasłami miłości do Ojczyzny — zniszczyła dzieło reformy, a wraz z nim pogrzebała Polskę.

Czym była Konstytucja Trzeciego Maja? Najlepszy nawet komentarz nie zastąpi oryginalnego tekstu, przeto publikujemy go z nieznacznymi tylko skrótami. W 190 rocznicę uchwalenia Konstytucji.

(czytaj str. 4)

3 MAJA

komu politycznych?

JOLANTA WROŃSKA

Dramatyczny bilans rzeczywistości polskiej, siłą rzeczy zepchnął na dalszy plan stare bolączki i wiecznie nie rozplątane supły. Mając świadomość wagi dziejących się spraw, chciałabym poruszyć jeden z takich omszałych kłopotów, mających właśnie wymowę szczególną. Mowa będzie o studentach i absolwentach nauk politycznych, rzeszy młodej i bardzo jeszcze nielicznej w masie corocznych dyplomantów, ale ciekawej. Z pewnością nie będzie to omówienie całkowicie wyczerpujące, ani w pełni obiektywne, ot trochę osobistych refleksji na publiczny temat.

Zacząć wypada od krótkiego przypomnienia historii. Fachowcy zwykli mawiać, że nauki polityczne (czy nauka polityczna, bo istnieje spór na ten temat), mają w Polsce długą tradycję i krótką historię. **Od początków piśmiennictwa polskiego rozwija się refleksja nad polityką, aliści zorganizowane badania naukowe tej sfery społecznej aktywności, datują się zaledwie od początków naszego stulecia.** Wtedy to powstała Szkoła Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Jagiellońskim i nieco później — Akademia Polityczna w Warszawie. Były to pierwsze ośrodki akademickie zajmujące się tą dyscypliną i kształcące młodzież.

Mając w dziedzinie politologii, o ironio, przebogaty dorobek piśmienniczy (od Kochanowskiego i Modrzewskiego poczynając), należymy do krajów praktycznie niestety bardzo zapóźnionych. Tradycje nauk politycznych w Anglii, czy Francji, sięgają 200 lat. Obecnie, obok tych dwóch najstarszych, przodują centra politologiczne w USA i Związku Radzieckim.

Wypracowany przed II wojną światową dorobek polskiej nauki w tej dziedzinie, kulawo rozwijał się po wyzwoleniu. Politologię spotkał po trosze ten sam los co cybernetykę, uznaną za „...ideologiczną broń reakcji imperialistycznej..." (patrz „Krótki Słownik Filozoficzny", Warszawa, 1955 r.).

Istnienie powstałych na nowo w 1945 r. wspomnianych ośrodków zostało przerwane błędnymi decyzjami politycznymi (sic!) w 1948 r. co na lat niemal dwadzieścia zahamowało rozwój nauk politycznych w Polsce. O powodach można by mówić długo. Jednak decydujące były trzy czynniki, nawzajem się warunkujące. Po pierwsze — niechęć, często bardzo upraszczająca, do pluralizmu politycznego wśród radykalnej lewicy polskiej (tarcia między PPR a PPS na pewno nie ułatwiły rozwoju myślenia pluralistycznego). Po drugie — całokształt sytuacji wewnętrznej i zagranicznej tego czasu, prowadził raczej do usztywnienia ideologicznego i politycznego. Musiało to rzutować na stan refleksji naukowej w humanistyce. Po trzecie — jakby **nie w pełni rozumiano, iż teoria naukowego socjalizmu jest zaledwie niezbędnym fundamentem, metodą, która musi się dopiero roz-**

Dalszy ciąg na str. 7

KRONIKA KULTURALNA

OKOŁO trzy tygodnie będzie trwała wielka impreza plastyczna pod bardzo ogólnym tytułem „Twórcy 81". Impreza organizowana jest przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, BWA i ZPAP i ma na celu unaocznić fakt obecności plastyki w społeczeństwie jak i ugruntować jej miejsce na mapie kulturalnej kraju. Na całość imprezy składać się będzie szereg wystaw autorskich. Otwarcie imprezy nastąpi 29 kwietnia w parku im. H. Sienkiewicza (wystawa malarstwa i rzeźby), Ośrodku Propagandy Sztuki, park im. H. Sienkiewicza (wystawa rysunku, grafiki, tkaniny unikatowej, szkła artystycznego), Galeria PWSSP (wystawa tkaniny Grupy Twórczej Artystów Plastyków „T 80"), Centralne Muzeum Włókiennictwa (wystawa dokumentacji, fotografiki, rysunku, filmu, video, performance Galerii Ślad), Salon Sztuki Współczesnej (wystawa pokonkursowa malarstwa „Łódź 81") Galeria Klubu Techniki NOT (wystawa „Twórcy 1945—1980". Od 30 kwietnia do 9 maja czynna będzie wystawa fotografii Grzegorza Przyborka w Galerii Bałuckiej; od 1 maja do 9 maja obejrzeć będzie można wystawę reportaży fotograficznych Jadwigi i Janusza Tryzno w Salonie Fotografiki ŁTF; od 3 do 17 maja w Galerii Ślad pokazy autorskie; od 4 do 17 maja w Muzeum Historii Miasta Łodzi wystawa rzeźby ceramicznej Włodzimierza Fine; od 5 do 12 maja w pasażu al. ZMP wystawa Grupy Satyryków Łódzkich; 7 maja — Odsłonięcie Pomnika Kamienicy — Akcja grupy urząd R miasta.

O imprezach późniejszych poinformujemy w następnym numerze.

ZARZĄD Oddziału Łódzkiego ZLP zwrócił się do prezydenta m. Łodzi z propozycją aby w związku z uroczyście obchodzonym 100-leciem urodzin gen. Władysława Sikorskiego jedną z największych ulic naszego miasta nazwać jego imieniem. Ponadto postulują żeby z okazji przypadającej w bieżącym roku 190 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, pierwszej konstytucji w Europie nadać nazwę „3 Maja" nowemu osiedlu budowanemu na Radogoszczu.

DOBIEGŁ właśnie końca trzeci z kolei ogólnopolski konkurs plastyczny dotyczący malarstwa i grafiki religijnej, którego współorganizatorem jest ZZG — Zespół „Veritas" w Warszawie.

W tegorocznym konkursie udział wzięło 118 artystów plastyków, którzy nadesłali 143 prace.

Jury konkursu na swym posiedzeniu w dniu 22.IV.br. pod przewodnictwem Adama Radajewskiego (historyk sztuki) postanowiło przyznać nagrody i wyróżnienia:

W dziedzinie malarstwa

Drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w wysokości 12.000 zł za całokształt prac — których autorem jest Stefan Juraszek z Bielska-Białej, oraz 8 wyróżnień po 5.000 zł każde (zamiast trzech gdyż nie przyznano trzecich nagród) następującym autorom: Stanisławowi Polaniakowi z Nowego Wiśnicza, Eugeniuszowi Molskiemu z Nowego Wiśnicza, Stanisławowi Żuradowi z Wrocławia, Marianowi Kępińskiemu z Łodzi, Józefowi Mackiewiczowi ze Zgorzelca, Eugeniuszowi Repczyńskiemu z Piły, ks. Tadeuszowi Furdynie z Łodzi Józefowi Zelek z Łaskowej

W dziedzinie grafiki

I nagrodę w wysokości 10.000 zł przyznano Gabrielowi Kołatowi z Łodzi. II nagrodę w wysokości 7.000 zł przyznano Pawłowi Durajowi z Poddębic. Dwie trzecie nagrody po 4.000 zł każde Lucynie Deckert-Firla z Cieszyna, Jadwidze Smykowskiej z Cieszyna, oraz jedno wyróżnienie w wysokości 2.000 zł Janowi Maciuchowi z Opola.

Uroczyste otwarcie wystawy pokonkursowej oraz wręczenie nagród i wyróżnień odbędzie się 21 maja br. w lokalu Oddziału Stowarzyszenia „PAX" w Łodzi.

14 KWIETNIA odbył się w Muzeum Narodowym w Warszawie XXVI zwyczajny walny zjazd Stowarzyszenia Historyków Sztuki, w którym wzięła udział pięcioosobowa delegacja Oddziału Łódzkiego w składzie: Elżbieta Kajzer Wanda Nowakowska, Tomasz Hubert Orłowski, Antoni Szram i Jerzy Wolski. Poza swym sprawozdawczym i wyborczym charakterem tegoroczny zjazd postawił sobie za cel stworzenie przez środowisko własnego programu ochrony dziedzictwa kulturowego, uznając, że struktura i działanie oficjalnie powołanych w tym celu służb jest zupełnie niewłaściwe. Znalazło to swój oddźwięk w uchwałach zjazdu wyrażających nieufność wobec poczynań zawiadujących ochroną zabytków urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki i nakazujących nowo wybranemu Zarządowi Głównemu interwencje w tej sprawie u premiera. Stowarzyszenie Historyków Sztuki w swych działaniach woli budować przyszłość ochrony dziedzictwa na inicjatywach społecznych i dlatego będzie uczestniczyło i stymulowało wszystkie akcje podejmowane wraz z ruchem ekologicznym i samorządnymi organizacjami naukowymi, twórczymi i zawodowymi.

Zjazd wybrał nowe władze Stowarzyszenia: prezesem został ponownie prof. Tadeusz Jaroszewski a do dwudziestoosobowego Zarządu Głównego weszli przedstawiciel naszego Oddziału, Tomasz Herbert Orłowski.

„SĄDNY DZIEŃ W RZGOWIE"

Kiedy ludzie widzą że urzędnik na eksponowanym stanowisku popełnia błędy i wykroczenia, nie licząc się z opinią publiczną i nie spotyka go za to żadna kara, dochodzą do wniosku, że musi mieć koligacje z jakimś sponsorem. A kiedy jeszcze powinowaci urzędnika noszą nazwisko zbieżne z nazwiskiem ważnej osobistości w oczach opinii publicznej sprawa staje się oczywista. Podczas burzliwego zebrania rolników w Rzgowie dnia 3 marca padło zdanie że były naczelnik Gawroński jest zięciem byłego prezydenta Lorensa Charakterystyczne, że taka opinia krążyła po gminie Rzgów od wielu lat i nikt z pracowników Urzędu Gminy nie zdementował jej publicznie. Nikt też nie protestował ani nie złożył wyjaśnienia w tej sprawie podczas zebrania, chociaż na sali znajdowali się przedstawiciele Urzędu Gminy i Urzędu Miasta Łodzi. Mogę więc jedynie wyrazić ubolewanie, że wskutek mego niedopatrzenia zdanie to znalazło się w tekście reportażu Eksprezydent Lorens nie ma nic wspólnego z byłym naczelnikiem Gawrońskim.

RYSZARD BINKOWSKI

TOMASZ SOLDENHOFF

ROZWIĄZANIE WORKA

Piszę te uwagi na gorąco, tuż po zakończeniu VII sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi, której głównym punktem była dyskusja na temat rozwoju i upowszechniania kultury.

Dyskusja trwała prawie 9 godzin, zabrało w niej głos przeszło 30 mówców spośród radnych i wyjątkowo licznych, 180 zaproszonych gości. Przystępowano do niej w nastroju pewnej odświętności wywołanej faktem, że **po raz pierwszym od 12 lat miano zająć się na plenarnym posiedzeniu RN całokształtem spraw łódzkiej kultury** (choć — jak przypomniano — wnioski o zwołanie tegoż pojawiały się jeszcze przed Sierpniem wielokrotnie, niestety — bez skutku).

Już sam ten pomysł — w okresie, gdy większość Polaków ma kłopoty z zaspokojeniem elementarnych potrzeb, mógł wzbudzić — i wzbudził — wątpliwości. Bo czy nie szkoda czasu i środków na naprawianie kultury, skoro brak ich na sprawy ważniejsze? W odpowiedzi — uzasadniając fakt zwołania sesji — zwracano uwagę na niebezpieczeństwo takiego rozumowania, na konieczność zachowania ciągłości wysiłków na rzecz kultury (w myśleniu i działaniu), na konsekwencje, do jakich mogłaby doprowadzić polityka „odkładania na potem". Ktoś sięgnął nawet do opinii, że skoro „ludzie muszą dziś być głodni, niech będą przynajmniej kulturalni" i zaapelował: „Nie mogąc dostarczyć ludziom mieszkań, dostarczajmy kultury!". Do poglądu tego nawiązał w końcowym przemówieniu obecny na sesji minister kultury i sztuki **Józef Tejchma** (po raz drugi w dość krótkim czasie goszczący w Łodzi), wskazując na nieżyciowość takiego przesłania.

Bo jego realizacja, pełna realizacja, nie jest dziś możliwa. Zbyt wiele zaniedbań, błędów, braków nagromadziło się po drodze. O przyczynach — w odniesieniu przede wszystkim do Łodzi i województwa — miała mówić dyskusja. O przyczynach, ale może jeszcze bardziej o k o n k r e t n y c h drogach wyjścia, sposobach — choćby doraźnego — zaradzenia złu, złagodzenia niedostatków. Zastrzegano się co prawda, że nie jest rzeczą możliwą wypracowanie podczas tego spotkania przemyślanego i kompletnego p r o g r a m u rozwoju kultury w regionie. Taki realny program — podkreślił przew. RN m. Łodzi prof. **M. Serwiński** — może być przygotowany tylko przez środowiska twórcze, wspólnie z Radą. Administracja zaś — stwierdził wiceprezydent **M. Polit** — może tylko zabezpieczyć jego wykonanie.

Ale dyskusja miała — i mogła — przynajmniej wytyczyć kierunki działania w najbliższym okresie. Tym, co powinno było ją przenikać, miał być — stwierdzano — r e a l i z m, świadomość potrzeby dopasowywania żądań do możliwości, coraz bardziej ograniczonych. Bo przecież pięknych obietnic nie brakowało dotąd, i nazbyt często w przeszłości traktowano je jako konkrety, choć nawet umieszczanie ich (i obwarowywanie terminami realizacji) w partyjnych dokumentach (vide uchwała plenum KŁ PZPR w 1974 r.) nie mogło — jak się później okazywało — być żadną gwarancją. — **Jeżeli więc nie mają powtórzyć się stare błędy i ta sesja ma być poważna, wszystko co tu powiemy musi być zrealizowane** — stwierdzono.

Trudno odmówić wielu osobom występującym z trybuny Rady słuszności w określaniu przyczyn, które zaważyły o dzisiejszym, katastrofalnym stanie kultury. Ten właśnie nurt, rzekłbym, wspomnieniowo-rozliczeniowy, był zresztą najsilniejszy w dyskusji. Mówiono więc o zgubnym odrywaniu spraw kultury od ekonomiki i o błędnych decyzjach personalnych. O zbyt słabym wykorzystywaniu przez środowiska możliwości wpływu na decyzje władz i o arbitralności tychże. O nieszczęśliwym fakcie nałożenia się reformy administracyjnej na proces rozregulowywania gospodarki i indolencji urzędników itd. itp. Wiele miejsca poświęcono także s k u t k o m tych faktów, opisowi stanu rzeczywistego, którego w wielu wypadkach nie oddały przygotowane przez UMŁ na tę sesję materiały. Np. pełny chyba rejestr drastycznych paradoksów i straconych szans w kulturze muzycznej Łodzi przyniósł głos prezesa oddziału SPAM **M. Pietkiewicza.** Padały liczne przykłady lekceważenia słusznych potrzeb, zaprzepaszczonych inicjatyw społecznych, błędów kadrowych, lekkomyślności władz, działań pozornych, fasadowości i pustosłowia.

Znacznie gorzej było już z formułowaniem konkretnych sposobów rozwiązywania problemów; tu bowiem okazywało się, że nie zawsze myśl i język mogą nagiąć się do konieczności n o w e g o zupełnie myślenia, że trudno jest pozbyć się stereotypów. Wydaje mi się, że **zabrakło świeżego spojrzenia na stare problemy i bolączki.** Wyjąwszy głos przedstawiciela ZSMP w dyskusji — zdominowanej przez rzeczników starszego i średniego pokolenia radnych, twórców i działaczy — nie było głosów młodych artystów i animatorów kultury, studentów. Wymowny jest również fakt, że — jak powiedział **A. Wilczkowski** — przedstawiciele NSZZ „Solidarność" musieli sami „wychodzić sobie" zaproszenie na sesję, a brak wcześniejszej informacji o terminie i temacie obrad uniemożliwił im bardziej gruntowne przygotowanie analiz i propozycji związku.

Dla wielu mówców sesja stała się okazją do wygłaszania sprawozdań na temat działalności reprezentowanych przez nich towarzystw czy placówek, przypominania zasług, a nawet reklamy, a także zwracania uwagi na konieczność załatwienia różnych interwencyjnych spraw. Słuchając szeregu wypowiedzi odnosiłem wrażenie, że znajduję się a to na konferencji popularnonaukowej, a to wieczorze autorskim, jeszcze kiedy indziej na gawędzie w TPŁ, wykładzie z historii miasta, albo propedeutyki kultury, czy też — dla odróżnienia na wiecu. Występujący na sesji jakby się umówili, by ignorować coraz częstsze apele przewodniczącego Rady o trzymanie się czasowego limitu i rezygnowanie z „uniwersalnych ogólnych, historycznych wstępów", koncentrowanie się n a m e r i t u m, a zwłaszcza — na konkretnych wnioskach. Rozstrzelenie spraw i problemów, brak oratorskiej dyscypliny, nieustanne mnożenie i — co gorsza — powtarzanie przykładów, uporczywe ściąganie dyskusji na tory kompleksów i potrzeby podsycania lokalnego patriotyzmu przez niektórych zwłaszcza działaczy społecznych towarzystw, anegdotyzm i długie dygresje historyczne — wszystko to sprawiło, że już w połowie obrad część obserwatorów odczuwała wyraźny niedosyt i rozczarowanie przebiegiem sesji. Coraz bardziej stawało się jasne, że zachwiane zostały proporcje głosów, że **doszło do skutecznego r o z m y c i a głównej idei sesji.** Myślę, że nie sprawdziła się koncepcja sesji jako w o r k a, który pozwala wypowiedzieć się każdemu, kto tylko zdążył wpisać się na listę głosów. W drobnych sprawach mikrośrodowisk, w szczegółach i detalach, w widzeniu kultury z żabiej perspektywy, zagubił się — jak mi się wydaje — nadrzędny cel sesji, którym miała być próba wypracowania przez członków Rady Narodowej wspólnego poglądu na sposoby rozwiązania palących problemów kultury i sztuki Łodzi.

Znów potwierdziła się obserwacja, że najpewniejszym sposobem — gdy brak pomysłów konkretnych rozwiązań i dobrego samopoczucia — jest podbijanie bębenka lokalnym tradycjom kulturalnym, odwoływanie się do przeszłości, do chlubnych kart historii łódzkiej kultury, tego, że żył tu **Oskar Flatt** i odnosił tryumfy **Kazimierz Dejmek.** Osobiście czuję się już znużony ciągłym przypominaniem tych faktów, nieustannym odwracaniem uwagi ku przeszłości, sugerowaniem, iż jest ona źródłem bezpośrednich wzorów do działania dzisiaj.

A wiele tego było, niestety, w dyskusji na posiedzeniu Rady. Czy może to zastąpić konkrety, rzutowanie w przyszłość, potrzebę pragmatyzmu, trzeźwego, rzekłbym, gospodarskiego spojrzenia na sprawy leżące w zasięgu ręki? Jasnych wniosków, zdrowej, pragmatycznej nuty, jako koniecznej dominanty, brakowało mi właśnie w czasie tych obrad. Prób podpowiedzenia władzy nie tylko c o, ale i j a k należy robić, by ocalić to, co wali się i sięga dna.

Nie znaczy to oczywiście, że nie było w ogóle wniosków pod adresem władz. Z reguły jednak albo dotyczyły one zmian personalnych, albo wykraczały poza łódzkie realia — wiele bowiem energii pochłonęło mówcom formułowanie wniosków znanych skądinąd i niejednokrotnie już powtarzanych w innych środowiskach albo na łamach czasopism czy w telewizji. Wkraczały one w dziedzinę funkcjonowania państwowego mecenatu, wskazywały na konieczność podjęcia zmian strukturalnych w modelu kultury polskiej, a także generalnych rozwiązań. Wymienię tu zwłaszcza apel do ministra o dopilnowanie, by w projektach przyszłych ustaw (o przedsiębiorstwie, samorządzie i związkach zawodowych) znalazły się stwierdzenia zobowiązujące zakłady pracy do starań na rzecz kultury. A także ponowne przypomnienie (przez **H. Czyża**) o samowystarczalności finansowej polskiej kultury i potrzebie usamodzielnienia jej również pod względem ekonomicznym.

Można żałować, że tak właśnie — w ogólniejszym kontekście — nie ujrzano całości spraw łódzkiej kultury. Sesja z udziałem ministra była bowiem ogromną okazją, by zarazić go ideą konieczności stworzenia r z ą d o w e g o Programu Rozwoju i Modernizacji Kultury w Łodzi, (o czym pisał przed tygodniem na tych łamach **Jerzy Katarasiński**), gdyż tylko taki program może, jak się wydaje, oczyścić zaniedbywaną i wykorzystywaną przez lata Łódź z kompleksu „bermudzkiego trójkąta" oraz przybliżyć perspektywę generalnego rozwiązania pilnych potrzeb łódzkiej kultury.

Niestety, propozycja sformułowana w „Odgłosach" zupełnie uszła uwagi radnych i gości. Wiele emocji natomiast zabrały rozstrząsania, co bardziej zasługuje na nowy gmach: Muzeum Sztuki czy Filharmonia. Z dużą satysfakcją np. wysłuchałem subtelnej polemiki pary przyjaciół: **H. Czyża** i **R. Stanisławskiego**, a także rzeczowego głosu przewodniczącego Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii prof. **J. Lanzendorfa.** A pod adresem ministra zgłoszono — oprócz wspomnianych już ogólnych uwag — jedynie parę dość enigmatycznych próśb i deklaracji, których nieśmiały styl — podobnie zresztą jak styl całej sesji — przypomniał tak przecież niedawne jeszcze czasy, gdy do władz przemawiało się na klęczkach... (n.b. odwrotnym przejawem tego samego nawyku jest dziś prostackie r u g a n i e władzy w majestacie „demokratycznej atmosfery"... — świadkami i takiego wystąpienia byliśmy na tej sesji).

Trzeba więc żałować, że zamiast wykorzystać sprzyjający czas i miejsce, poprzestano na tym, co opisałem powyżej, na prezentowaniu aktualizowanych tylko list postulatów, powtarzaniu lokalnych fobii i mitów, na afiszowaniu się „łódzką krzywdą". Głosy krytyczne, a jednocześnie podawające konkretne, rozsądne rozwiązania, stanowiły bowiem mniejszość. Były, to prawda (np. **J. Jankowskiego, T. H. Orłowskiego, A. Mikołajczyka**), ale i one rzadko kiedy wychodziły poza problemy i perspektywę poszczególnych instytucji czy środowisk kulturalnych. Cała sesja udowodniła natomiast, że wciąż nie umiemy mówić o problemie kultury łódzkiej syntetycznie, kompleksowo, a przy tym k o n s t r u k t y w n i e, że nie stać nas na propozycje całościowe, na systemowe rozwiązania, że wciąż dominuje oddzielne widzenia spraw, perspektywa zaścianka. Że — w końcu — brakuje odwagi. W przypadku Rady Narodowej — jeśli chce ona rzeczywiście przyczynić się do uratowania łódzkiej kultury — musi to oznaczać konieczność przewietrzenia jej szeregów, wpuszczania świeżej krwi... Odniosłam bowiem wrażenie, że zbyt wielu radnych po prostu dysponuje bądź małą wiedzą, bądź też niewielką ochotą do dyskusji na temat trudnych problemów kultury. Że kultura — mimo dobrej woli i przekonywań nowego przewodniczącego — jest dla nich problemem nie kontrowersyjnym, mglistym i dość odległym.

Fakt podjęcia uchwały „w sprawie programu rozwoju i upowszechniania kultury w województwie miejskim łódzkim na lata 1981—85" — przy zaledwie dwóch głosach wstrzymujących się — był dla mnie jeszcze jednym dowodem tego smutnego stanu rzeczy i potrzeby napisania o tym.

27 kwietnia 1981 r.

List otwarty Społecznego Komitetu Budowy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi

W roku bieżącym mija 50 lat od otwarcia w Łodzi ofiarowanej przez wybitnych artystów polskich i europejskich — kolekcji sztuki nowoczesnej, która wbogacana z upływem czasu nowymi nabytkami stanowi dziś największy i nabardziej reprezentatywny zbiór międzynarodowej sztuki nowoczesnej w Polsce. Prowadzona w oparciu o te zbiory działalność Muzeum Sztuki w Łodzi — w skali miasta, kraju i na arenie międzynarodowej — jest niestety umniejszana z roku na rok w sposób coraz bardziej dramatyczny na skutek drastycznego ograniczenia, jakie stanowi lokalizacja w murach budynku nie przydatnego do tego celu. Brak przestrzeni wystawienniczej, zaplecza technicznego, sprzeczne z wymogami konserwatorskimi warunki w przepełnionych salach i magazynach-piwnicach, zmuszają nie tylko do rezygnacji z wielu ważnych dla współczesnej kultury artystycznej przedsięwzięć, lecz prowadzą również do nieuchronnych zmian w substancji bezcennych dla sztuki światowej dzieł stanowiących majątek narodowy. Warunki te stoją w rażącej sprzeczności z tezą o upowszechnianiu współczesnej kultury artystycznej w naszym kraju. Muzeum pilnie potrzebuje z prawdziwego zdarzenia gmachu na miarę znaczenia posiadanych zbiorów i wszechstronnych zadań, jakie nowocześnie pojęta instytucja muzealna winna spełniać w społeczeństwie.

Od wielu lat czynione są wysiłki, by temu zaradzić. W 1974 r. został rozstrzygnięty konkurs architektoniczny zakładający w swym programie najbardziej aktualne wymogi muzealnictwa światowego. Jednakże, pomimo przyznanej lokalizacji i pozytywnych decyzji władz politycznych i miejskich, zaawansowane prace w dwa lata później arbitralnie przerwano. Jest najwyższy czas, aby zmienić ten stan rzeczy, aby unikalne zbiory, których tradycja i renoma są znane w świecie, wreszcie zaczęły służyć społeczeństwu, a muzeum, jako rzeczywiście nowoczesny wielofunkcyjny ośrodek sztuki — wzorem podobnych instytucji zagranicznych — stało się aktywnym instrumentem postępu kulturalnego. Umieszczenie zbiorów łódzkich w nowoczesnym, pierwszym po wojnie wybudowanym w Polsce gmachu muzealnym, stwarza dla miasta szansę stania się nie tylko wiodącym ośrodkiem kultury plastycznej kraju, lecz także ważnym centrum w Europie, autentycznym narzędziem promocji sztuki polskiej.

Oczekują tego zarówno mieszkańcy Łodzi, jak i artyści, miłośnicy sztuki, związki twórcze i organizacje społeczne w kraju. Władze miejskie i państwowe uznały obecnie realną możliwość pilnego wznowienia prac związanych z budową, czemu dał także wyraz w publicznym oświadczeniu minister kultury i sztuki Józef Tejchma.

Z inicjatywy grupy łódzkich intelektualistów, związanych z miastem pisarzy, pracowników nauki, artystów, dziennikarzy, krytyków, powstał Społeczny Komitet Budowy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi, w skład którego weszli przedstawiciele świata kultury i nauki również z innych ośrodków kraju. Komitet stawia sobie za cel upowszechnienie idei budowy nowego gmachu oraz inicjowanie różnorodnych działań zmierzających do urzeczywistnienia tego celu.

W przekonaniu, że w obecnej sytuacji podjęta akcja społeczna może skutecznie przyczynić się do realizacji wysuniętych idei, zwracamy się z prośbą o jej poparcie do wszystkich osób, którym bliskie są sprawy kultury, do zakładów pracy, instytucji, stowarzyszeń i organizacji społecznych. Komitet przyjmie z satysfakcją wszelkie dowody poparcia, które prosimy kierować na nasz adres ul. Więckowskiego 36-90-734 Łódź.

Wpłaty przeznaczone na budowę gmachu prosimy przekazywać na konto Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Sztuki w Łodzi w PKO I Oddz. w Łodzi Nr 47513-9670-132.

Komitet wyraża nadzieję, że przy wydatnej pomocy i poparciu społecznym zostanie wzniesiony gmach muzealny — trwałe świadectwo naszych czasów, świadectwo rozumienia roli kultury jako ważnego czynnika integracji narodowej.

SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W ŁODZI

Łódź, 22 kwietnia 1981 r.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

Andrzej Makowiecki

JADZIA

1.

Kiedy wymieniam nazwisko tej kobiety, centrala telefoniczna łączy mnie błyskawicznie. I w tym samym momencie kończy się łańcuch szczęścia. Słyszę:

— *Szwalnia, drugie piętro...*

— *Czy mogę mówić z Jadwigą Nowakowską?*

— *Niestety. Wyszła.*

— *A kiedy będzie?*

— *O czwartej.* — I po krótkiej przerwie: — *Pan jest jej tatą?*

— *Nie, proszę pani. Dzwonię z redakcji „Odgłosów".*

— *Uuu!*

— *Skąd to westchnienie?*

— *Bo wy nam tę Jadźkę wykończycie.*

— *Myśli pani o dziennikarzach?* — pytam. I jednocześnie zdaję sobie sprawę, że mam już wstęp do reportażu; wstęp oraz pierwszą odpowiedź na pytanie, kim naprawdę ta „Jadźka" jest, bo oficjalnie to chodzi przecież o mistrza szwalni w zakładach dziewiarskich „Femina" i członka Komitetu Centralnego PZPR.

2.

Muszę czekać jeszcze kilka dni, aby się z nią zobaczyć. W międzyczasie słyszę ciągle: Jadzia na uniwersytecie, Jadzia u sekretarza, Jadzia w komitecie, Jadzia w innej fabryce, Jadzia w Warszawie na spotkaniu z Kanią, wreszcie: Jadzia chora, dajcie jej święty spokój! Fotoreportera, który przyszedł zrobić jej zdjęcie, usunięto grzecznie, ale stanowczo z gmachu. Nie znaczy to, oczywiście, aby Nowakowska miała cokolwiek przeciwko reporterom, podobnie jak nie należy wysnuwać żadnych fałszywych wniosków, iż Nowakowska kryje się przed dziennikarzami. Jest naprawdę straszliwie zabiegana i zapracowana. Załoga: szwaczki, brygadzistki, telefonistki, portierzy próbują ją na swoją modłę chronić, ale nigdy w ten sposób, aby kłamać, że jej nie ma, kiedy rzeczywiście jest; raczej zniechęcać intruza przed powtórnym atakiem. Tym bardziej, że są święta, i że ona także ma rodzinę, i że ona naprawdę była chora już przed świętami, kiedy jechała czternastego do Warszawy, a także w czasie świąt.

Ale pierwszego dnia po świętach przyszła do pracy. Na marginesie, to od razu chciałoby się opowiedzieć, jak niektórzy członkowie KC przychodzą do pracy. A przedtem jeszcze, to chciałoby się również powiedzieć parę słów o drodze życiowej niektórych członków KC. Z tym, że Jadwiga Nowakowska wspomina własne dzieje bez jakiejkolwiek ekspresji: ot, urodziłam się na Bałutach, w starym domu, w jednym pokoju o powierzchni dwudziestu siedmiu metrów i mieszkałam tam od urodzenia przez całe swoje życie, aż do teraz, bo dopiero miesiąc temu otrzymałam mieszkanie w blokach.

— *Gdzie?*

— *Na Chojnach. Ściślej biorąc: na Kurczakach, dwa przystanki za wiaduktem.*

Jeszcze rok temu kolejnym, konsekwentnym pytaniem w tym dialogu byłoby:

— *No i jak się mieszka?*

A odpowiedź, równie konsekwentna i nieunikniona, musiałaby zabrzmieć:

— *No, wiecie, znakomicie. W tym pokoju z przepierzeniem na Bałutach nie miałam żadnych wygód poza zimną, bieżącą wodą, tu natomiast jest również woda gorąca, a poza tym: toaleta, łazienka, gaz, kaloryfery, no i te piękne pejzaże za oknem, te ukwiecone trawniki...*

Czasy się jednak zmieniły — może dlatego tak trudno pisać teraz reportaże — i z moich ust nie pada żadne takie pytanie, a z ust Nowakowskiej żadna taka odpowiedź. Wzdryga się, ciągle jeszcze przeziębiona, i ni to do mnie, ni do towarzyszącej nam Barbary Nowak, sekretarza KZ, mówi w formie beznamiętnego stwierdzenia:

— *Wczoraj* (drugie święto) *byłam cały dzień sama, mąż wraz synem musiał wyjechać. Tam, na Bałutach, to lubiłam nieraz zostać sama, ale do Chojen nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczaić i miałam taką chandrę, że jak nigdy w życiu, tego nie robię, wypiłam samotnie kieliszek...*

— *I jak pani dojeżdża do „Feminy"?* — pytam wiedząc, że pracuje na dwie ciężkie zmiany: w jednym tygodniu od 13 do 21, w drugim — od piątej rano do pierwszej po południu. *O której pani dzisiaj wstała?*

— *Jak zwykle. O wpół do czwartej.*

— *Jednym słowem: w środku nocy?*

— *I co w tym dziwnego?*

— *Ano nic* — mówię. I myślę: o tej porze, w poświąteczną noc, wielu ludzi wstało dopiero od biesiadnego stołu, i tylko po to, żeby walnąć się do łóżka.

Jadwiga Nowakowska, która jest człowiekiem odważnym, albo nawet szalenie odważnym, nie przestała przecież być kobietą tylko dlatego, że wygłosiła wiele ognistych przemówień w KC. To ostatnie, z IX Plenum, obiegło na czołowych szpaltach całą prasę. Jadwiga Nowakowska nie pozuje na żadną nieustraszoną heroinę — potrafi również się bać. Mówi, znowu tym nieoficjalnym, konwersacyjnym tonem:

— *Kiedy wychodzę, to jest całkiem ciemno, nie pali się ani jedna latarnia. Więc budzę starego; nieraz trochę marudzi, ale zmuszam go, żeby podszedł do okna, albo stanął na balkonie i poczekał, aż bezpiecznie dojdę do przystanku.*

— *A potem?*

— *Potem czekam na „28" i przy rogu Kopernika i Zeromskiego przesiadam się na jakiś tramwaj, który leci na Retkinię.*

Normalne przecież. Czeka na tramwaj, potem jedzie tym samym roztrzęsionym tramwajem, stojąc w tłoku na peronie, albo kuląc się z zimna na zielonym, plastykowym krzesełku. I co z tego, że jest członkiem KC? Nie przestała być przecież robotnicą. Nie zdążyła jeszcze wpaść w sobole, nie nauczyła się jeszcze wpychać do czarnej wołgi. Nie zapomniała, bo nie chciała zapomnieć, jak smakuje robociarska dola, jak wygląda znużona robociarska twarz o piątej nad ranem, i o czym właściciel tej znużonej robociarskiej twarzy rozprawia w zatłoczonym tramwaju, kiedy jest wzburzony lub zły. I to właśnie dzięki temu wolno jej przemawiać tak odważnie i bezkompromisowo — w każdym miejscu i z każdej trybuny.

Najpierw była zwykłą szwaczką, później, jako wyróżniająca się pracownica, skończyła technikum odzieżowe dla przodujących robotników, skończyła zresztą z wynikiem bardzo dobrym i wróciła do zakładu na stanowisko mistrzyni. Powiadają niektóre szwaczki, a ma ich na kierowanym przez siebie oddziale ponad sto, że jest niezwykle sprawiedliwa, ale, z drugiej strony, niezwykle wymagająca. Ano, bo jest fachowcem. Jak trzeba, sama potrafi usiąść przy maszynie i pokazać, że robotę można wykonać szybciej i dokładniej. Tak czy owak, cieszy się niekłamaną sympatią. Kiedy parę lat temu dyrekcja chciała przenieść ją na wyższe stanowisko, przyszła petycja od całego oddziału, z podpisami stu szwaczek, że nie chcą żadnej innej szefowej. No więc została. I nie od niej to wiem.

Nowakowska o sobie mówić nie lubi. Telewizja zaproponowała jej ostatnio wizytę z kamerami w jej nowym domu. Cała duża audycja z udziałem rodziny. Osiemnastoletni syn był „za", ale ona odmówiła. Ze to nie jest żadną aktorką filmową. A, poza tym, jak mówi o sobie, nie jest ładna. — *Był w Łodzi sekretarz, co lubił tylko takie szczupłe, wcięte w pasie. Ale ja nie jestem wcięta w pasie. Z dziennikarzem mogę porozmawiać (no, dobra, niech przyjedzie już ten fotoreporter) z tym, że o sprawach ważnych.* Nowakowskiej wydaje się, że to, o czym mówiliśmy do tej pory, jest nieistotne. Ej, takie sobie pogaduszki. Jednakże dla reportera właśnie to jest ważne. Nie będę przecież streszczał ani cytował przemówienia, które zna cały kraj.

A swoją drogą, jak doszło do tego przemówienia? Jak to się stało, że Nowakowska wystąpiła na plenum jako pierwsza, determinując niejako dalszy tok dyskusji? Jak to się dzieje, że wielu moich znakomitych kolegów i jednocześnie znakomitych mówców jedzie na Zjazd Literatów do Warszawy, żeby, tralilali, reprezentować środowisko łódzkie, i żaden z nich nie zabiera głosu, bo to: albo mu nie dali, albo pora nie ta, albo ktoś w ostatniej chwili wyjął mu kwestię z gęby, natomiast Nowakowska, wśród jeszcze wybitniejszych konkurentów, bez niczyjej protekcji i pomocy, potrafiła wedrzeć się na mównicę?

— *Jak to możliwe?*

— *Ano, kiedy tylko towarzysz Kania pojawił się na sali, czym prędzej do niego podeszłam i wręczyłam mu zgłoszenie do dyskusji.*

— *I wystąpiła pani — upewniam się raz jeszcze — jako pierwsza?*

— *Tak.*

— *I jaka była reakcja?*

— *No, potem wróciłam na miejsce. My tam, w Komitecie Centralnym, mamy swoje stałe, chociaż nie pisane miejsca. Obok mnie siedział sekretarz z Bydgoszczy i były sekretarz z Łodzi.*

Pauza.

— *Wielu mężczyzn lubi kobiety subtelne i wcięte. Odnoszę wrażenie, że po ostatnim plenum Komitetu Łódzkiego była pani obiektem wielu ataków, takich aluzyjnych, zakamuflowanych, i takich wprost. Dowody na to można znaleźć w biuletynach. Ponadto słyszałem bezczelne w swojej wymowie kalumnie, że pani już w tej chwili przygotowuje sobie kampanię wyborczą, i że w ogóle zasugerowano pani, aby nie udzielała wywiadów prasowych. Oczywiście, mam na myśli tylko nasze łódzkie podwórko.*

JADWIGA NOWAKOWSKA: „Ja, po prostu, nie nadaję się do stałej pracy w administracji partyjnej, do robienia kariery w tym pionie".
Foto: R. Łucyszyn

BARBARA NOWAK: „Wystarczy, żeby „doły" uwierzyły w szczerość intencji „góry".
Foto: M. Widerkiewicz

— *Jak pan widzi, rozmawiam z panem, a więc nie boję się udzielać wywiadów. Co do kampanii wyborczej, to mogę pana zapewnić, że jej nie prowadzę i nigdy prowadzić nie będę. Ja, po prostu, nie nadaję się do stałej pracy w administracji partyjnej, do robienia kariery w tym pionie. Mam swoją szwalnię. Wystarczy mi moja szwalnia. Wystarczy mi to, że jako członek partii mogę być przekaziciełem opinii i trosk innych szeregowych członków partii i w ogóle wszystkich robotników. Przecież mój głos na plenum Komitetu Centralnego nie powstał ot, tak sobie, z mojego widzimisię. Konsultowałam go z Komitetem Zakładowym w „Feminie" i z komitetami zakładowymi innych pięćdziesięciu fabryk i instytucji w województwie. Były propozycje wielu zmian, korekt, dużo uwagi uwzględniliśmy, uznając je za słuszne. Po plenum też przyszło masę opinii na temat mojego wystąpienia...*

Przeglądam te uwagi i opinie nadsyłane przedtem i potem do Nowakowskiej. Sterta. Telegramy, listy, sążniste pisma i zwykłe, maleńkie karteluszki.

Jadwiga Nowakowska ciągnie:

— *Jest dużo towarzyszy w Komitecie Łódzkim, którzy mnie znają i wiedzą, że nie pragnę jakiejkolwiek kariery politycznej. Mówię to, co myślę i co myślą robotnicy. Ale załóżmy że ja, my, robotnicy, możemy się mylić, że to, co myślimy, jest nieprawdą albo niecałą prawdą. Czyż w takim wypadku rola Komitetu Łódzkiego nie powinna być troska, aby w sposób jasny i przekonywający udowodnić nam, że jesteśmy w błędzie, że się mylimy co do niektórych ocen? Czyż nie powinni ci najmądrzejsi uzbroić nas w odpowiednie dowody i argumenty, tak, abyśmy mogli wrócić do swoich zakładów i powiedzieć załodze: słuchajcie, nie mieliśmy racji, z tą sprawą jest tak i tak, z tamtym towarzyszem zupełnie inaczej, byliśmy w swoich sądach niesprawiedliwi, pochopni. Ale nie uzbrojono mnie, niestety, w żadne takie argumenty.*

Pauza.

— *Dowiedziała się pani natomiast, ciągle chodzi mi oczywiście o nasze łódzkie podwórko, że wystąpienie pani na ostatnim plenum KC było działalnością rozłamową?*

Żebyśmy się dobrze zrozumieli: w ciągu całej rozmowy ze mną Jadwiga Nowakowska nie wystąpiła z żadną skargą, nie wymieniła żadnego nazwiska. Jest powściągliwa i rozważna, jak przystoi na polityka. Oddzielmy zatem moje pytania od jej odpowiedzi.

— *Już po ostatnim plenum KC* — mówię — *tuż przed świętami, była pani w Warszawie na spotkaniu Stanisława Kani z gronem pięćdziesięciu członków i zastępców członków Komitetu Centralnego, wywodzących się ze środowisk robotniczych i chłopskich. Czy miała pani osobisty kontakt z pierwszym sekretarzem?*

— *Owszem. Rozmawiałam z nim. Wydaje się, że jest mi życzliwy. Pytał o moje zdrowie. Powiedziałam, że jestem chora. „Dlaczego, w takim razie, przyjechaliście na to spotkanie". „Ponieważ uważam, że to bardzo ważne spotkanie". Był życzliwy, to się czuło.*

3.

Sekretarz KZ, Barbara Nowak, ma do „Odgłosów" pretensje. Jadwiga Nowakowska podziela te pretensje. Otóż w jednym ze sprawozdań podaliśmy nieprawdziwe dane, jakoby w wyniku strajków, które miały miejsce w 1976 roku, zwolniono z pracy w „Feminie" czterdzieści osób.

— *A ile zwolniono?* — pytam.

— *Tylko pięć* — odpowiada Barbara Nowak.

— *Jesteś pewna, że tylko pięć?* — mówi Jadwiga Nowakowska.

— *Tak. I bodajże dwie z nich zostały później przyjęte z powrotem, choćby Maria Skiba.*

— *Ale trzeba to, mimo wszystko, sprawdzić, skoro już domagamy się sprostowania. Szef kadr wie dokładnie.*

Przychodzi zatem szef kadr. Dowiaduję się, że jest członkiem „Solidarności". Nazywa się Jarosław Stasiak. Potwierdza:

— *W wyniku strajku zwolniono pięć osób. Przed strajkiem zwolniono paru kierowców, ale z całkiem innych przyczyn, za pijaństwo.*

— *Pan należy również do partii?*

— *Tak* — potwierdza szef kadr.

— *Jest nawet członkiem komisji zjazdowej* — wtrąca Barbara Nowak.

Kiedy Stasiak opuszcza gabinet, pytam, ilu członków partii w „Feminie" złożyło legitymacje.

— *Około osiemdziesięciu.*

— *Dużo to, czy mało?*

— *W porównaniu z innymi zakładami: mało.*

— *Uważacie panie, że można przywrócić robotnicze zaufanie do partii?*

— *Jestem przekonana, że tak* — mówi Barbara Nowak. — *Wystarczy, żeby „doły" uwierzyły w szczerość intencji „góry".*

— *To prawda* — potwierdza Jadwiga Nowakowska. — *Wszystko zależy od tego, jak przebiegać będzie kampania wyborcza i jakie decyzje zapadną na IX Zjeździe. No, muszę wracać.*

— *Na szwalnię?*

— *Tak. Polityka polityką, ale produkcja też jest ważna. Potem jadę zresztą jeszcze na spotkanie.*

— *A jutro?*

Przez cały czas naszej rozmowy raz po raz odzywa się telefon. Dzwoni „Życie Warszawy", dzwonią komitety innych zakładów, dzwonią z Polesia, dzwonią z uczelni, dzwonią z prośbą o pomoc, konsultację, poradę. Wielki kredyt ma u ludzi Nowakowska. I leży w interesie społecznym bronić tego kredytu. Ze wszystkich sił!

Mówi:

— *Jutro, tak jak dzisiaj. Od piątej rano szwalnia, a potem rozmowy, zebrania, narady.*

— *Jak pani to wszystko wytrzymuje?*

— *Przyzwyczaiłam się.*

— *No, dobrze, ale ma pani przecież także dom? Kto stoi w kolejkach? A może otrzymuje pani specjalne dostawy?*

Jadwiga Nowakowska nie obraża się. I mówi tak:

— *Nie mam specjalnych dostaw. Nikt mnie nie zaopatruje. No, ale jest jeszcze ludzka przyjaźń. Gdyby koleżanki nie wykupiły przed świętami moich kartek na mięso, to jadłabym chleb i ziemniaki. Stoję, oczywiście, w kolejkach, bo kto ma to za mnie zrobić? Dla męża i syna nie jestem członkiem KC, tylko żoną i matką. Mleka już od dawna nie kupuję, a masło rzadko, bo jest to sprawa beznadziejna, musiałabym chyba zupełnie zrezygnować ze snu. Na szczęście, nie mam w domu małych dzieci. Ale boli mnie serce, kiedy pomyślę o młodych matkach. Więc na koniec powiem coś panu, panie redaktorze. Lubię „Odgłosy" i czytuję „Odgłosy", choć kupować je muszę w kiosku, bo tu, do „Feminy" nie docierają. Mam dla was temat. Wie pan, co nas niszczy? Chomikarstwo. Zaopatrzenie jest złe, albo nawet bardzo złe, ale nie aż tak bardzo, jakby wynikało to z ogromnych kolejek. Lecz nie o to chodzi. Chciałabym, żeby dziennikarze zrozumieli jedną podstawową prawdę: najbardziej pokrzywdzone są kobiety pracujące. Kobieta pracująca, szczególnie robotnica, która nie ma możliwości urwać się z roboty i stanąć w kolejce skazana jest na głód, chociaż to jej właśnie potrzebna jest przede wszystkim siła. Z kolei kobieta nie pracująca zawsze znajdzie czas, aby obiec kilkanaście sklepów i zaopatrzyć się na zapas w to, co w znacznej części należy się innym, które wracają do domu z pustymi torbami i płaczą.*

USTAWA RZĄDOWA
Z DNIA 3 MAJA ROKU 1791

W IMIĘ BOGA,
W TRÓJCY ŚWIĘTEJ JEDYNEGO
STANISŁAW AUGUST
z Bożej Łaski i Woli Narodu,
Król Polski

WIELKI KSIĄŻĘ LITEWSKI,
RUSKI, PRUSKI, MAZOWIECKI,
ŻMUDZKI, KIJOWSKI, WOŁYŃSKI,
PODOLSKI, PODLASKI, INFLANTSKI,
SMOLEŃSKI, SIEWIERSKI
CZERNIECHOWSKI

wraz ze Stanami skonfederowanymi
w liczbie podwójnej
naród Polski reprezentującymi

Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucyi narodowej jedynie zawisł, drugiem doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje, i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła, wolnymi od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą, egzystencyę polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć, mimo przeszkód, które w nas namiętności sprawować mogą, dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic, z największą stałością ducha, niniejszą Konstytucyę uchwalamy i tę całkowicie za świętą, za niewzruszoną deklarujemy, dopókiby naród w czasie, prawem przepisanym, wyraźną wolą swoją nie uznał potrzeby odmienienia w niej jakiegoś artykułu. Do której to Konstytucyi dalsze ustawy Sejmu teraźniejszego we wszystkim stosować się mają.

I.
RELIGIA PANUJĄCA

Religią narodową panującą jest i będzie wiara święta Rzymska Katolicka (...). Ze zaś taż sama wiara święta przykazuje nam kochać bliźnich, przeto wszystkim ludziom jakiegokolwiekbądź wyznania pokój w wierze i opiekę rządową winniśmy i dlatego wszelkich obrządków i religii wolność w krajach polskich, podług ustaw krajowych warujemy.

II.
SZLACHTA ZIEMIANIE

Szanując pamięć przodków naszych, jako fundatorów rządu wolnego, stanowi szlacheckiemu wszystkie swobody, wolności, prerogatywy pierwszeństwa w życiu prywatnem i publicznem, najuroczyściej zapewniamy (tu następuje potwierdzenie przywilejów nadanych przez poprzednich władców — przyp. red.). Wszystką szlachtę równymi być między sobą uznajemy, nietylko co do starania się o urzędy i o sprawowanie posług Ojczyźnie honor, sławę, pożytek przynoszących, ale oraz co do równego używania przywilejów i prerogatyw, stanowi szlacheckiemu służących, nadewszystko zaś prawa bezpieczeństwa osobistego, wolności osobistej i własności gruntowej i ruchomej, tak, jak od wieków każdemu służyły, świątobliwie, nienaruszenie, zachowane mieć chcemy i zachowujemy, zaręczając najuroczyściej, iż przeciwko własności czyjejkolwiek, żadnej odmiany lub excepcyi w prawie nie dopuścimy, owszem Najwyższa władza krajowa i Rząd, przez nią ustanowiony, żadnych pretensyi pod pretekstem iurium regalium i jakimkolwiek innym pozorem, do własności obywatelskich bądź w części bądź w całości rościć sobie nie będzie. Dlatego bezpieczeństwo osobiste i wszelką własność komukolwiek z prawa przynależną, jako prawdziwy społeczności węzeł, jako źrenicę wolności obywatelskiej szanujemy, zabezpieczamy, utwierdzamy, i, aby na potomne czasy szanowane, ubezpieczone i nienaruszone zostawały, mieć chcemy. Szlachtę za najpierwszych obrońców wolności i niniejszej Konstytucyi uznajemy Każdego szlachcica cnocie, obywatelstwu i honorowi jej świętość do szanowania, jej trwałość do strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę Ojczyzny i swobód naszych.

III.
MIASTA I MIESZCZANIE

Prawo na teraźniejszym Sejmie zapadłe, pod tytułem: „Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitej"[2]) w zupełności utrzymane mieć chcemy, i za część niniejszej Konstytucyi deklarujemy, jako prawo wolnej szlachcie polskiej dla bezpieczeństwa ich swobód i całości wspólnej Ojczyzny, nową, prawdziwą i skuteczną dającą siłę.

IV.
CHŁOPI WŁOŚCIANIE

Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactwo krajowych źródło, które najliczniejszą stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość, ludzkość i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny interes dobrze rozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc: iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyliby te swobody, nadania i umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu zawartego w takowych nadaniach i umowach pod opiekę Rządu krajowego podpadający (tu następują szczegóły na temat owych umów — przyp. red.) ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi, tak nowo przybywających, jak i tych, którzyby, pierwej z kraju oddaliwszy się, teraz do Ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece iż każdy człowiek, do państw Rzeczypospolitej nowo z którejkolwiek strony przybyły, lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi Polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce, wolny jest uczynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, tak i dopóki się umówi, wolny jest mieszkać w Polsce, lub do kraju, do którego zechce, powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął.

V.
RZĄD, CZYLI ZNACZENIE WŁADZ PUBLICZNYCH

Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli Narodu. Aby więc całość państw, wolność obywatelska i porządek społeczności w równej wadze na zawsze zostawały, trzy władze Rząd narodu Polskiego składać powinny i z woli i prawa niniejszego na zawsze składać będą, to jest: władza prawodawcza w Stanach zgromadzonych, władza najwyższa wykonawcza w Królu i Straży i władza sądownicza w juryzdykcyach, na ten koniec ustanowionych lub ustanowić się mających.

VI.
SEJM CZYLI WŁADZA PRAWODAWCZA

Sejm czyli Stany zgromadzone, na dwie izby dzielić się będą: na Izbę poselską i na Izbę senatorską pod prezydencyą Króla. Izba poselska, jako wyobrażenie i skład wszechwładztwa narodowego, będzie świątynią prawodawstwa. Przeto w Izbie poselskiej najpierw decydowane będą wszystkie projekta (tu następuje wyszczególnienie prawodawczych kompetencji — przyp. red.). Izby senatorskiej, złożonej z biskupów, wojewodów kasztelanów i ministrów, pod prezydencyą Króla mającego prawo raz dać votum swoje, drugi raz paritatem[3]) rozwiązywać osobiście lub nadesłaniem zdania swego do tejże Izby, obowiązkiem jest: 1-mo. Każde prawo, które po przejściu formalnem w Izbie poselskiej do Senatu natychmiast przesłane być powinno, przyjąć lub wstrzymać do dalszej Narodu deliberacyi, opisaną w prawie większością głosów. Przyjęcie moc i świętość prawa nadawać będzie. Wstrzymanie zaś zawiesi tylko prawo do przyszłego ordynaryjnego Sejmu, na którym, gdy powtórna nastąpi zgoda, prawo zawieszone do Senatu przyjętem być musi. 2-do: Każdą uchwałę sejmową w materyach wyżej wyliczonych, którą Izba poselska Senatowi przysłać natychmiast powinna, wraz z tąż Izbą poselską większością głosów decydować, a złączona Izb obydwoch większość, podług prawa opisaną, będzie wyrokiem i wolą Stanów. Warujemy, iż senatorowie i ministrowie w objektach sprawowania się z urzędowania swego, bądź w Straży, bądź w Komisyi, votum decisivum w Sejmie nie będą mieli, i tylko zasiadać wtenczas w Senacie dla dania eksplikacyi na żądanie Sejmu. Sejm zawsze gotowym będzie: prawodawczy i ordynaryjny. Rozpoczynać się ma co dwa lata, trwać zaś będzie podług opisu Prawa o sejmach[5]) Gotowy, w potrzebach nagłych zwołany, stanowić ma o tej tylko materyi, do której zwołanym będzie lub o potrzebie po czasie zwołania przypadłej, prawo żadne na tym ordynaryjnym Sejmie, na którym ustanowione było, znoszonem być nie może. Komplet Sejmu składać się będzie z liczby osób, niższem prawem opisanej, tak w Izbie poselskiej, jako i w Izbie senatorskiej. „Prawo o sejmikach", na teraźniejszym Sejmie ustanowione, jako najistotniejszą zasadę wolności obywatelskiej, uroczyście zabezpieczamy. Jako zaś prawodawstwo sprawowane być nie może przez wszystkich i naród wyręcza się w tej mierze przez reprezentantów, czyli posłów swoich, dobrowolnie wybranych; przeto stanowimy, iż posłowie na sejmikach obrani, w prawodawstwie i ogólnych narodu potrzebach, podług niniejszej Konstytucyi uważani być mają jako reprezentanci całego Narodu, będąc składem ufności powszechnej. Wszystko i wszędzie większością głosów udecydowane być powinno; przeto liberum veto, konfederacye wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej Konstytucyi przeciwne, rządy obalające, społeczność niszczące, na zawsze znosimy. Zapobiegając z jednej strony gwałtownym i częstym odmianom konstytucyi narodowej, z drugiej, uznając potrzebę wydoskonalenia onej, po doświadczeniu jej skutków co do pomyślności publicznej, porę i czas rewizyi i poprawy Konstytucyi co lat dwadzieścia pięć naznaczamy, chcąc mieć takowy Sejm konstytucyjny ekstraordynaryjnym podług osobnego o nim opisu.

VII.
KRÓL, WŁADZA WYKONAWCZA

Żaden rząd najdoskonalszy bez dzielnej władzy wykonawczej stać nie może Szczęśliwość narodów od praw sprawiedliwych, praw skutek od ich wykonania zależy. Doświadczenie nauczyło, że zaniedbanie tej części rządu nieszczęściami napełniło Polskę. Zawarowawszy przeto wolnemu narodowi Polskiemu władzę praw sobie stanowienia i moc bacznosci nad wszelką wykonawczą władzą, oraz wybierania urzędników do magistratur, władzę najwyższego wykonywania praw Królowi w Radzie jego oddajemy, która to Rada Strażą praw zwać się będzie. Władza wykonawcza do pilnowania praw i onych pełnienia ściśle jest obowiązana. Tam czynną z siebie będzie, gdzie prawa dozwalają, gdzie prawa potrzebują dozoru egzekucyi, a nawet siłnej pomocy. Posłuszeństwo należy się jej zawsze od wszystkich magistratur; moc przynaglenia nieposłuszne i zaniedbujące swe obowiązki magistratury w jej ręku zostawiamy. Władza wykonawcza nie będzie mogła praw stanowić ani tłómaczyć, podatków i poborów pod jakimkolwiek imieniem nakładać, długów publicznych zaciągać, rozkładu dochodów skarbowych przez Sejm zrobionego odmieniać, wojny wydawać, pokoju ani traktatów i żadnego aktu dyplomatycznego definitive[6]) zawierać. Wolno jej tylko będzie tymczasowe z zagranicznymi prowadzić negocyacye, oraz tymczasowe i potoczne dla bezpieczeństwa i spokojności kraju wynikające potrzeby załatwiać, o których najbliższemu Zgromadzeniu sejmowemu donieść winna. — Tron Polski elekcyjnym przez familie mieć na zawsze chcemy i stanowimy. Doznane klęski bezkrólewiów, peryodycznie rząd wywracających, powinność ubezpieczenia losu każdego mieszkańca ziemi Polskiej i zamknięcia na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych, pamięć świetności i szczęścia Ojczyzny naszej, za czasów familii ciągle panujących, potrzeba odwrócenia od ambicyi tronu obcych i możnych Polaków zwrócenia do jednomyślnego wolności narodowej pielęgnowania, wskazały roztropności naszej oddanie tronu Polskiego prawem następstwa. Stanowimy przeto, iż po życiu, jakiego nam dobroć Boska pozwoli, elektor dzisiejszy Saski w Polsce królować będzie (tu następują szczegóły na temat saskiej dynastii — przyp. red.). Osoba Króla jest święta i bezpieczna od wszystkiego. Nie sam przez się nie czyniący, za nic w odpowiedzi Narodowi być nie może. Nie samowładcą, ale ojcem i głową Narodu być powinien i tym go prawo i Konstytucya niniejsza być uznaje i deklaruje (tu szczegóły na temat królewskich dochodów, prawa do ułaskawień, dowodzenia armią w czasie wojny oraz mianowania komendantów, oficerów, urzędników, biskupów i senatorów — przyp. red.). Straż czyli Rada Królewska, do dozoru, całości i egzekucyi praw Królowi dodana, składać się będzie: (...) z prymasa (...) pięciu ministrów, to jest ministra policyi, ministra pieczęci, ministra belli[7]), ministra skarbu, ministra pieczęci do spraw zagranicznych (...), dwóch sekretarzy (...). Marszałek sejmowy, jako na dwa lata wybierany, wchodzić będzie w liczbę zasiadających w Straży, oez wdawania się w jej rezolucye, jedynie dla zwołania Sejmu gotowego. W takiem zdarzeniu, gdyby on uznał w przypadkach koniecznego zwołania Sejmu gotowego wymagających pilną potrzebę, a Król go zwołać wzbraniał się, tedy tenże marszałek do posłów i senatorów wydać powinien listy okólne, zwołując onych na Sejm gotowy i powody zwołania tego wyrażając (a powody mogą być następujące: wojna ościenna, wewnętrzne zamieszanie, zagrożenie powszechnym głodem oraz śmierć lub ciężka choroba króla — przyp. red.). Wszystkie rezolucye roztrząsane będą przez skład wyżej wspomniany, decyzya królewska po wysłuchanych wszystkich zdaniach przeważać powinna, aby jedna była w wykonaniu prawa wola; przeto każda ze Straży rezolucya pod imieniem Królewskiem i z podpisem króla Jego wychodzić będzie, powinna być jednak podpisana także przez jednego z ministrów, zasiadających w Straży (...). W przypadku, gdyby żaden z ministrów zasiadających decyzyi podpisać nie chciał, Król odstąpi od tej decyzyi, a gdyby przy niej upierał się, marszałek sejmowy w tym przypadku upraszać będzie o zwołanie Sejmu gotowego, i jeżeli król spóźniać będzie zwołanie, marszałek to wykonać powinien (...). Ministrowie, do Straży wezwani, w komisyach zasiadać nie mają. W przypadku zaś, gdyby większość dwoch trzecich wotów sekretnych dwoch Izb złączonych na Sejmie ministra, bądź w Straży, bądź w urzędzie odmiany żądała, Król natychmiast na jego miejsce innego nominować powinien. Chcąc, aby Straż praw narodowych obowiązana była do ścisłej odpowiedzi Narodowi za wszelkie onych przestępstwa, stanowimy: iż gdy ministrowie będą oskarżeni przez deputacyę, do egzaminowania ich czynności wyznaczoną o przestępstwo prawa, odpowiadać mają z osób i majątków swoich. W wszelkich takowych oskarżeniach Stany zgromadzone prostą większością wotów Izb złączonych odesłać obwinionych ministrów mają do Sądów sejmowych po sprawiedliwe i wyrównujące przestępstwu ich ukaranie, lub przy dowiedzionej niewinności od sprawy i kary uwolnienia. Dla porządnego władzy wykonawczej dopełnienia, ustanawiamy oddzielne Komisye mające związek ze Strażą i obowiązane do posłuszeństwa tejże Straży. Komisarze do nich wybierani będą przez Sejm do sprawowania urzędów swoich w przeciągu czasu prawem opisanego. Komisye te są: 1-mo. Edukacyi 2-do. Policyi. 3-tio. Wojska. 4-to. Skarbu. Komisye porządkowe wojewódzkie, na tym Sejmie ustanowione, równie do dozoru Straży należące, odbierać będą rozkazy przez wyżej wspomniane pośrednicze Komisye, respective co do objektów każdej z nich władzy i obowiązków.

VIII.
WŁADZA SĄDOWNICZA

Władza sądownicza nie może być wykonywaną ani przez władzę prawodawczą, ani przez Króla, lecz przez magistratury na ten koniec ustanowione i wybierane. Powinna zaś być tak do miejsc przywiązana żeby każdy człowiek blizką dla siebie znalazł sprawiedliwość, żeby przestępny widział wszędzie groźną nad sobę rękę krajowego rządu. 1-mo ustanawiamy przeto: Sądy pierwszej instancji dla każdego województwa, ziemi i powiatu, do których sędziowie wybierani będą na sejmikach. Sądy pierwszej instancyi zawsze będą gotowe i czuwające na oddanie sprawiedliwości tym, którzy jej potrzebują. Od tych sądów iść będzie apelacya na Trybunały główne dla każdej prowincyi być mające, złożone równie z osób na sejmikach wybranych (...). 2-do: Juryzdykcye zaś sądowe wszystkim miastom podług prawa Sejmu teraźniejszego O miastach wolnych Królewskich zabezpieczamy. 3-tio Sądy referendarskie dla każdej prowincyi osobno mieć chcemy w sprawach włościan wolnych dawnemi prawami sądowi temu poddanych. 4-to. Sądy zadworne asesorskie, relacyjne i kurlandzkie zachowujemy. 5-to. Komisye wykonawcze będą miały sądy w sprawach do swej administracyi należących. 6-to oprócz sądów w sprawach cywilnych i kryminalnych dla wszystkich stanów, będzie Sąd najwyższy sejmowy zwany, do którego przy otwarciu każdego Sejmu obrane będą osoby. Do tego sądu należeć będą występki przeciwko Narodowi i Królowi, czyli crimina status[8]). Nowy kodeks praw cywilnych i karnych przez wyznaczone przez Sejm osoby spisać rozkazujemy.

IX.
REGENCYA

(rozdział o trybie sprawowania regencji i przypadkach, w jakich mieć ona może miejsce, a więc wobec małoletności króla, jego błędu lub popadnięciu w niewolę podczas wojny — przyp. red.).

X.
EDUKACYA DZIECI KRÓLEWSKICH

(rozdział o wychowaniu i kształceniu królewiąt, nad czym czuwać ma wyznaczony przez sejm dozorca, który „donosić winien na każdym ordynaryjnym Sejmie o edukacji i postępkach królewiczów" — przyp. red.).

XI
SIŁA ZBROJNA NARODOWA

Naród winien jest samemu sobie obronę od napaści i dla przestrzegania całości swojej. Wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych. Wojsko nie innego jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły Narodu. Naród winien wojsku swemu nagrodę i poważanie za to, iż się poświęca dla jego obrony. Wojsko winno Narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej, stowem: winno być jego najsilniejszą tarczą. Aby przeznaczenia tego dopełniło niemylnie, powinno zostawać ciągle pod posłuszeństwem władzy wykonawczej, stosownie do opisów prawa, powinno wykonać przysięgę na wierność Narodowi i Królowi i na obronę Konstytucyi narodowej. Użytem być więc wojsko narodowe może na ogólną kraju obronę na strzeżenie fortec i granic, lub na pomoc prawu, gdyby kto egzekucyi jego nie był posłuszny.

DEKLARACYA STANÓW ZGROMADZONYCH

Wszystkie prawa dawne i teraźniejsze, przeciwne niniejszej Konstytucyi lub któremukolwiek jej artykułowi, znosimy; a opisy poszczególne do artykułów i każdej materyi w niniejszej Konstytucyi zamkniętych potrzebne, jako dokładniej wyszczególniające obowiązki i układ rządu, za część składającą też Konstytucyą deklarujemy. Władzy wykonawczej zalecamy, aby Straż swe obowiązki natychmiast pod okiem Sejmu rozpoczęła i ciągle utrzymywała. **Bogu i Ojczyźnie uroczyście przysięgamy na posłuszeństwo, na obronę wszystkiemi ludzkiemi siłami całej Konstytucyi, i takową przysięgę za hasło rzetelnej miłości Ojczyzny dając,** wykonanie onej nakazujemy natychmiast tu w Warszawie przez wszystkie komisye i juryzdykcye sądowe, niemniej przez wojsko tu przytomne, a w ciągu najdalej miesiąca od daty niniejszego prawa, za ordynansem komisyi wojskowej, przez całe wojsko narodowe w państwach Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego konstytuujące (tu następuje instrukcja, dotyczące nabożeństw na intencję „podziękowania Bogu za zdarzoną chwilę pomyślną wydobycia Polski z przemocy obcej i nieładu domowego" — przyp. red.).

Uczyniwszy zadość radości powszechnej, dajemy pilne oko na ubezpieczenie tej Konstytucyi, stanowiąc iż ktobykolwiek śmiał być przewrotnym niniejszej Konstytucyi lub targać się na jej zepsucie, albo wzruszał spokojność dobrego i szczęśliwym być zaczynającego Narodu przez zasiewanie nieufności, przewrotne tłumaczenie Konstytucyi, a tem bardziej przez formowanie jakiegokolwiek w kraju rokoszu, czyli konfederacyi onej przodkował, lub jakowym sposobem do tego dokładał się, ten za nieprzyjaciela Ojczyzny, za jej zdrajcę, za buntownika uznany i najsurowszymi karami natychmiast przez Sąd Sejmowy ukarany będzie. Dla czego nakazujemy aby Sąd Sejmowy w komplecie nieprzerwanym tu w Warszawie agitował się. Sesye od dnia do dnia limitował, wszystkich zaś doniesionych sobie, przez dobrze osiadłego obywatela delacyę, biorącego, w asystencyi instygatorów obojga narodów, o podnoszenie rokoszu lub namawianie do niego natychmiast sądził, o osobach wyrokowi swojemu mających podlegać ubezpieczał się, do czego wojska narodowe za zniesieniem się sądu z władzą wykonawczą mają być gotowe i powolne.

Następują podpisy sygnatariuszy Konstytucji: St. Małachowskiego, referendarza wielkiego koronnego, K. ks. Sapiehy, marszałka konfederacji Wielkiego Księstwa Litewskiego, J. Kossakowskiego, biskupa inflanckiego i kurlandzkiego oraz przedstawicieli wszystkich prowincji, posłów A. ks. Jabłonowskiego, S. K Szydłowskiego, F. A. Kwileckiego, K. K. Platera, W. Strojnowskiego, S. K. Potockiego, J. N. Zboińskiego, T. Nowowiejskiego, J. Radzickiego, J. Zabiełły, J. Puttkamera.

opr. ind.

Kompozycja symbolizująca odradzającą się Polskę, rycina Franciszka Smuglewicza z karty tytułowej „Diariusza sejmu ordynaryjnego z r. 1792.

Przedruk za broszurą wydaną nakładem K. Idzikowskiego w 1915 roku w Warszawie. Pisownia i interpunkcja według tego wydania. Wszystkie wytłuszczenia w tekście pochodzą od redakcji. Skróty, eliminujące nadmiernie skomplikowane figury stylistyczne i mało istotne szczegóły, sygnalizowane są trzema kropkami w nawiasie. Wszystkie pozostałe skróty obejmujące pewne całostki treściowe, zasygnalizowane zostały i omówione w przypisach redakcyjnych, ujętych w nawias i wtrąconych w tekst.

Objaśnienia:

1) praw króla.
2) prawo to — przyjęte przez Sejm 18 kwietnia 1791 roku — stanowi integralną część Konstytucji, przyznającą miastom i mieszczanom szereg swobód i przywilejów, które m. in. otwierają przed stanem mieszczańskim drogę do własności ziemskiej, do urzędów, stopni oficerskich i dostojeństw duchownych, a także do nobilitacji. Miasta otrzymują samorząd i własne sądownictwo, zaś na mieszczan rozciągnięte zostają liczne prawa, zagwarantowane dotąd dla stanu szlacheckiego, włącznie z koronnym „neminem captivabimus, nisi iure victum", czyli „nikogo nie więzimy, o ile go prawem nie przekonamy".
3) równość (głosów).
4) głosu stanowczego, tj. decydującego.
5) prawo o sejmach uchwalono 13 maja 1791 roku.
6) ostatecznie.
7) wojny.
8) zbrodnie stanu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

korzenie

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie jest to wybór przypadkowy. Dziś, gdy staramy się przywracać właściwe wymiary postaciom historycznym, nie wolno czynić tego tylko w stosunku do jednych, a zapominać o innych. Nie wolno przede wszystkim zapominać o wybitnych działaczach ruchu komunistycznego. A nie wolno dlatego, że w ich dorobku można i trzeba znajdywać myśli które stanowią cenną inspirację dla naszych współczesnych poszukiwań. Partia zawsze głosiła, że jest kontynuatorką tradycji ruchu robotniczego, ale w praktyce była to jedynie piękna deklaracja, piękny ukłon dla tych tradycji, z czego nic dla współczesności nie wynikało. Tymczasem uporczywe trzymanie się korzeni mogłoby ustrzec nas przed wieloma fałszywymi krokami, przed wieloma błędami i deformacjami.

Maria Koszutska — jak pisze *Marian Marek Drozdowski* w książce pt. „Społeczeństwo, państwo, politycy II Rzeczypospolitej" — *„to jedna z najciekawszych postaci polskiego ruchu komunistycznego. Jedna z inicjatorek założenia KPRP, torowała w partii drogę nowym ideałom i poszukiwaniom. Była swoistym prekursorem polskiej drogi do socjalizmu".* Była to postać piękna i tragiczna zarazem.

KRÓTKI ŻYCIORYS

Marianna Karolina Sabina Koszutska urodziła się 2 lutego 1876 roku w Głowczynie koło Kalisza. Jej ojciec *Karol* był właścicielem ziemskim. Wraz z trojgiem dzieci przeniósł się z Główczyna do Kadzidłowa w gminie Sobótka w powiecie łęczyckim. Tu *Maria* zdobywała pierwsze nauki pod kierunkiem swej matki, *Zuzanny* i *Gzowskich*. Matka przygotowała ją znakomicie. Bez trudu więc zdała egzamin do szóstej klasy szkoły żeńskiej Henryki Czarnockiej w Warszawie. Szkoła ta mieściła się przy ul. Brackiej 18. *Maria* ukończyła ją w 1893 roku, ale bez pierwszej nagrody, na którą bezapelacyjnie zasłużyła. Weszła jednak w konflikt z księdzem prefektem i to zadecydowało o pozbawieniu jej nagrody.

Po ukończeniu warszawskiej szkoły powróciła do Kadzidłowa, gdzie zajęła się uczeniem młodszej, chorej siostry. Uczyła się też sama. W 1898 roku, po śmierci siostry, na pewien czas wyjechała na Litwę, gdzie pracowała jako nauczycielka domowa. W 1901 roku uzyskała prawo nauczania w szkołach prywatnych i wyjechała na roczne studia w paryskiej Sorbonie.

Jesienią 1902 roku przyjechała do Łodzi i objęła posadę kierowniczki średniej szkoły koedukacyjnej. Tu poznała *Józefa Ciszewskiego*, swoją wielką miłość, tu związała się na trwałe z ruchem robotniczym, tu została po raz pierwszy aresztowana. W Łodzi zamieszkała w domu przy ul. Przejazd 41 m 12. *(A może by ten fakt jakoś upamiętnić!!?)* To właśnie do tego mieszkania zastukała w nocy 14 marca 1903 roku carska żandarmeria, aresztowała młodą nauczycielkę i osadziła w więzieniu, w celi nr 17. Aresztowana odmawiała zeznań. A kiedy 18 marca okrzykami i śpiewem powitała nową partię więźniów, przewieziono ją do Łęczycy, a następnie do X pawilonu warszawskiej Cytadeli.

Zesłana na 2 lata do Chołmogorów (70 km od Archangielska), gdzie zesłano również *Józefa Ciszewskiego*, w październiku 1904 wróciła do Kadzidłowej do chorej matki, która wkrótce zmarła i do dalszej działalności w PPS. W styczniu 1905 roku została ponownie aresztowana i skazana na zesłanie do guberni wołogodskiej, ale nigdy tam nie dotarła. Ciężko chorą, po wielu staraniach, umieszczono w szpitalu, z którego uciekła. Rozpoczęła teraz nielegalny żywot rewolucjonistki.

Po powstaniu PPS — Lewicy w listopadzie 1906 roku odgrywa coraz większą rolę. Współredaguje organ tej partii: *„Na barykady"*, bierze udział w wielu akcjach, pisze do innych pism socjalistycznych. Poszukiwana pod zaborem rosyjskim przenosi się na teren Austrii, wiele czasu spędza w wiedeńskich bibliotekach, stale się uczy.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej i po zajęciu Łodzi przez Niemców wraca na pewien czas do tego miasta, gdzie nadal działa nielegalnie, organizując pomoc bezrobotnym i zakładając międzypartyjną organizację kulturalną „Światło". Później przenosi się do Warszawy. Cały czas pracuję, pisze artykuły, organizuje konferencje partyjne, prowadzi ożywioną działalność ideową wśród członków PPS-Lewicy. Z radością przyjmuje wieść o wybuchu rewolucji w Rosji. Uważnie, choć nie bezkrytycznie śledzi jej rozwój, czemu daje wyraz w wielu artykułach. Rozumie jednak, że wybuch i zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Rosji zmienia sytuację w polskim ruchu robotniczym. Jest zwolenniczką jedności w tym ruchu. Działa na rzecz połączenia się PPS — Lewicy z SDKPiL. W listopadzie 1918 roku zostaje jednym z członków Rady Międzypartyjnej. Nie jest więc przesadą twierdzenie, że była współzałożycielką Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

JAKĄ BYŁA?

Jak ją widzieli współcześni? *Natalia Gąsiorowska* — autorka wstępu do wydanych w 1961 roku *„Pism i przemówień" Marii Koszutskiej* — poznała ją w szkole żeńskiej w Warszawie, której też była uczennicą, co prawda w jednej z młodszych klas. Zbliżyła się do niej w 1893 roku w czasie wakacji, które spędzała w pobliżu Kadzidłowej. Później wielekroć jeszcze spotykała się z *Marią Koszutską*, już jako sekretarka *Stefanii Sempołowskiej*, z którą *Maria Koszutska* pozostawała w bliskich kontaktach. Ostatni raz *Natalia Gąsiorowska* widziała się z *Marią Koszutską* w Moskwie w 1933 roku, gdzie przyjechała wraz ze *Stefanią Sempołowską* na Zjazd Nauczycieli Radzieckich. Wówczas Wera była ciężko chora. *Natalia Gąsiorowska* spotkała się z Werą w mieszkaniu *Józefa Ciszewskiego*.

A oto, jak ją wspomina z czasów młodości:

„Wiążąc się z podziemnym ruchem robotniczym, weszła w krąg nowej myśli i działania, w którym pozostanie do końca życia. Porzuciła dotychczasowy swój świat, zrywając z tym, co było jej bliskie, a stało się obce i wrogie. Odchodząc od uprzywilejowanych grup ku masom ludzi pracy, ku ich dążeniom i walce, staje bez wahania z całym oddaniem w ich szeregach.

Wiele wspomnień własnych i obcych z tych czasów ciśnie się pod pióro. Maria umiała zdobywać autorytet wśród otoczenia; cicha, skromna, szanująca godność każdego człowieka, zamknięta w sobie, była również dyskretna w stosunku do innych; serdeczna i przyjacielsko pomocna nie dawała nikomu dostępu do własnego bólu, cierpienia...

Cechowała ją myśl jasna, stałe pogłębianie swej wiedzy oraz zdolność szybkiej decyzji i czynu. Kochała dobro i piękno w człowieku".

Michał Sokolnicki w książce pt. „Czternaście lat" wydanej w Warszawie w 1936 roku tak o niej napisał:

„Wera zawsze cicha, nie narzucająca się, załatwiająca najważniejsze sprawy łagodnie i z prostotą, ścisła, obowiązkowa, prawie mistyczna i uduchowiona w swym spojrzeniu i swej pracy — wieczna romantyczka polska".

Była odważna. Nie złamały ją prześladowania carskiej policji, ani policji polskiej. Miała poglądy i nie bała się ich bronić, gdy je atakowano. A to już i dawniej nie bywało takie bezpieczne. Znana powinna być wszystkim jej obrona linii II Zjazdu KPP z 1923 roku przed komisją polską V Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. Na czele tej komisji stał *Józef Stalin*, z jednym z jego zastępców był *Wiaczesław Mołotow*. Przemówienie swoje adresowała bezpośrednio do *Stalina, Mołotowa, Zinowiewa.*

Grigoriemu Zinowiewowi powiedziała:

„Z powodu naszego wystąpienia i krytycznej oceny niektórych decyzji Egzekutywy tow. Zinowjew powiedział nam dawno: pogruchoczemy wam kości, jeśli spróbujecie występować przeciwko nam. Tak, towarzysze, możecie to uczynić z łatwością...

Towarzysze! W naszej Komunistycznej Międzynarodówce kości połamane zrastają się. Obawiam się natomiast czego innego: właśnie z racji tego waszego specjalnego przywileju niebezpieczni dla was nie są tacy ludzie, którym można dla takich przyczyn, jak nam, łamać kości, ale tacy, którzy w ogóle kości nie mają".

Gdy mówiła dalej o niektórych polskich działaczach, którzy teraz nagle, gdy krytykuje się postępowanie KPRP, zmienili poglądy, choć całe lata walczyli z linią partii i linią Kominternu, to jej wydaje się to niebezpieczne i nie wywołuje zaufania, wtedy *Józef Stalin* przerwał jej, pytając:

— *„Uważacie to za nienaturalne?"* — odpowiedziała:

— *Tak, co najmniej za nienaturalne".*

Albo, gdy mówiła:

„Wy, towarzysze, możecie twierdzić, że wasze metody usuwania ujawniających się niebezpieczeństw są najbardziej skuteczne i celowe. Pod wpływem doświadczenia możecie dojść do odmiennych wniosków. Możecie manewrować raz tak, raz inaczej. Ale nie może tu być mowy o jakiejś jednej, niezawodnej, bezwzględnie obowiązującej metodzie czy zasadzie, zapytał ją Wiaczesław Mołotow:

— *„Jeszcze i teraz wątpicie w to?"* odpowiedziała:

— *„Nie tylko wątpię, ale jestem przeświadczona, że jest inaczej".*

I nie zostało jej to zapomniane.

JAKĄ POWINNA BYĆ PARTIA?

Była zwolenniczką jednolitego frontu proletariackiego. Na III Konferencji KPRP w kwietniu 1922 roku mówiła:

„Rewolucyjne stanowisko nie na tym polega, aby wyraz „rewolucja socjalna" odmieniać przez wszystkie możliwe przypadki. Chodzi o coś innego. Chodzi o to, aby rozumiec istotę i charakter obecnego rewolucyjnego okresu. Nie rozumieją tego zaś ci towarzysze, którzy mówią wciąż o jakiejś niezawodnej taktycznej recepcie esdeckiej czy innej, którzy wzdychają wciąż do starej „z brązu wykutej taktyki" itp. Nie ma taktyki dobrej na wszystkie okresy...

Front jednolity — to front masowy, to front ruchu masowego, który w dzisiejszym momencie musi być rewolucyjny. Kto się przeciwstawia jedności frontu, ten chce się zamknąć w sekcie, ten nie ma zaufania do ruchu masowego, ten zwraca się przeciw rewolucji".

Jej myśli i poglądy nie od razu znajdowały uznanie. Był to dla KPRP okres trudny. Partia dostosowywała się do nowych warunków, uczyła się leninizmu, stosowania go w praktyce. Zasadniczym krokiem na tej drodze był II Zjazd KPRP odbyty w dniach 19 września 2 października 1923 roku w małej miejscowości pod Moskwą. Współtwórcą linii przyjętej na tym Zjeździe była *Maria Koszutska*. Uważała ona, że partia leninowska musi bezwzględnie sama oceniać sytuację, posługując się dialektyką, że musi umieć w porę ocenić przemiany zachodzące w społeczeństwie.

„Ale złe jest — mówiła w czasie obrad Zjazdu — *gdy nie możemy zdobyć się na sąd samodzielny, gdy zawsze czekamy na przynaukę, że czekamy, aż nas wypadki wezmą za łeb, nie potrafimy ich przewidzieć ani wyprzedzić naszymi decyzjami".*

Na tym samym II Zjeździe mówiła też:

„Jedni chcą wielkich, masowych partii, które by znów ugrzęzły w marażmie i bezczynie i lękają się wszystkiego, co mogłoby odstraszyć nieboiowe, bezładne żywioły: drudzy chcą partii-sekty zajętej przede wszystkim troską o czystość zasad i separującej się od życia. Ani jedni, ani drudzy nie są jeszcze nosicielami wielkiej idei: partii-sztabu rewolucji proletariackiej. A stąd płyną i wszystkie inne choroby i niedomagania.

Kogo nie przetworzyła wewnętrzna myśl o tym, że jutro lub pojutrze będzie niósł odpowiedzialność za losy całego narodu i kraju, ten chce zamknąć życie partyjne w ramach małej grupki przyjaciół, kto nie czuje istotnego powołania komunisty-wodza mas, ten partię zamienia w klub dyskusyjny, gdzie rezonerstwo, wątpliwości i pesymizm w stosunku do każdej podjętej akcji zastępuje (walkę), odejmują jej rozpęd i siłę, ten sądzi, że główne jego zadanie polega na tym, by uznać lub zakwestionować zasady przyjęte przez większość partii, i nie czuje potrzeby pójścia z nimi w masy, wcielenia ich tam w życie, wypróbowania tam ich wartości".

W styczniu 1924 roku, charakteryzując partię leninowskiego typu, pisała w „Nowym Przeglądzie":

„... partia — organizacja ideowa musi umiejętnie zespalać impulsy idące z góry i z dołu, musi dać swoim członkom możność szerokiego omawiania wszystkich ważniejszych spraw dotyczących życia partii i zarządu państwem, musi dać im możność wpływania na decyzje, musi dać prawo krytyki, a jednocześnie nie uszczuplić swojej sprężystości, uniknąć — niebezpieczeństwa zamienienia się w klub dyskusyjny, niebezpieczeństwa, które dla partii rządzącej byłoby groźniejsze niż dla każdej innej".

TRUDNE, TRAGICZNE LATA

Maria Koszutska umiała bronić swych poglądów. Ale żeby móc ich obronić skutecznie jej przeciwnicy i antagoniści musieliby uznać jej argumenty i zrewidować własne poglądy. Nie zrobili tego. Komisja polska powołana przez V Kongres Międzynarodówki Komunistycznej uznała kierownictwo KPRP za *„polską filię trockizmu"*. Postanowiono zlikwidować zagraniczne Biuro Polityczne. *Maria Koszutska, Adolf Warski, Edward Próchniak*, zostali w ten sposób zawieszeni w prawach członków KC. W liście do kraju, który we wspomnianej już przedmowie do *„Pism i przemówień" M. Koszutskiej* cytuje *Natalia Gąsiorowska, Wera Kostrzewa* napisała:

„Wyrokiem na nas nie przejmujcie się zbytnio i nie róbcie z tego zbyt wielkiej tragedii. Tłumaczcie ludziom prosto i spokojnie, że każdy może się pomylić, ale że na szacunek zasługują tylko ci, którzy mają odwagę swoje zdanie wypowiadać".

Pozostała w Moskwie i pracowała w Międzynarodówce Chłopskiej. Brała udział w obradach III Zjazdu KPP. Broniła swoich poglądów. Podobnie brała udział w obradach IV Konferencji partyjnej, która odbyła się na przełomie listopada i grudnia 1925 roku w Moskwie. Konferencja wybrała w skład KC *Adolfa Warskiego*. W jakiś czas później dokooptowano w skład KC KPP *Marię Koszutską*. Dokonał się przełom w polityce partii, wrócono do linii przyjętej przez II Zjazd KPRP.

Od maja do sierpnia 1927 roku obradował w ZSRR IV Zjazd KPP. Rozgorzała na nim walka frakcyjna. Komitet Centralny już wcześniej podzielił się na „większość" i „mniejszość". *Wera Kostrzewa* stała się faktycznym przywódcą „większości", do której należał między innymi *Adolf Warski*. Zjazd wypowiedział się za zaprzestaniem walk frakcyjnych. Do KC wybrano przedstawicieli obu frakcji. Nie dało to, jednak rezultatów. Powoli wpływy w partii zdobywała „mniejszość", na czele której stał *Ju an Leński*. Dopiero na czerwcowym Plenum KC KPP z 1929 roku doszło do zakończenia tych walk. Sekretarzem generalnym KC KPP został wybrany *Julian Leński*. *Wera Kostrzewa* przeprowadziła krytykę poglądów „większości" oraz własnych. Zadeklarowała, że będzie głosowała za uchwałami przyjętymi przez KC. Deklaracji tej nie przyjęto. Nie wybrano jej w skład Biura Politycznego. *Julian Leński* w artykule drukowanym w „Nowym Przeglądzie" nazwał *Marię Koszutską* ideologiem *„grupy prawicowej"* w KPP. Komitet Wykonawczy MK zaaprobował decyzję o usunięciu *Marii Koszutskiej* z Biura Politycznego. Od jesieni 1928 roku przebywała w Berlinie, teraz przeniosła się do Moskwy, gdzie otrzymała pracę nie związaną z jej zainteresowaniami, ani możliwościami Została osamotniona, tylko garstka najbliższych przyjaciół nie odsunęła się od niej.

W lutym 1936 roku, po uchwałach VII Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej, które miedzy innymi wysuwały hasła jednolitego frontu proletariatu, frontu ludowego oraz rewidowały dotychczasowy stosunek do socjaldemokracji, *Maria Koszutska* napisała list do KC KPP ofiarując swoje siły i umiejętności w dalszej pracy partyjnej. List ten nie zmienił jej sytuacji. Nadal pozostała „renegatem". Później została aresztowana.

„Podobnie jak szereg innych działaczy KPP — pisze Natalia Gąsiorowska — *Kostrzewa uległa tragicznemu losowi. Wedle oficjalnych wiadomości zakończyła życie w roku 1939".*

Sporo jest w jej życiu spraw jeszcze do końca nie dopowiedzianych, niewyjaśnionych, tak zresztą, jak w całej historii ruchu komunistycznego. Tym więc bardziej warto jej postać, jej myśli, jej dorobek, jej historyczną rolę w ruchu komunistycznym przywrócić narodowej świadomości. Nie wolno tak pięknej postaci skazywać na zapomnienie.

ROMAN GORZELSKI

MAJOWE ŚWIĘTO

Otwierają krokami pasma ulic zwarte
robotnicy bo w wolność tu krzepną dni nowe
oczodoły zamarłych przebiły traw głowy
kamienny na cmentarzu kozak pełni wartę

Krokami otwierają ulic pasma zwarte
robotnicy co księgi w swych rękach trzymają
już kamieni z barykad ich dłonie nie znają
i głodu z nich korzenie zostaną wydarte

Kroki wciąż otwierają ulic zwarte sieci
słońce do nich pomiędzy kominami wzleci
i opadnie — w tym mieście tak się czas odmierza

Idzie rolnik i włókniarz ze swoją dziewczyną
i oto dzień majowy w cieple wiosny minął
ciągle stoją tu w polskich mundurach żołnierze

Otwierają krokami pasma ulic zwarte
robotnicy bo w wolność tu krzepną dni nowe
oczodoły zamarłych przebiły traw głowy
— kamienny na cmentarzu kozak pełni wartę

JACEK INDELAK

STRAPIENIA MŁODEGO C.

— *Wierzyłem w Gierka, jak w Boga. Rękę bym sobie dał uciąć. Do oczu skakałem, kiedy tylko kto pokpiwał lub nie dowierzał. Chodziłem między ludzi i agitowałem za „drugą Polską", za „pomożecie", za „Polak potrafi". A teraz? Przez pierwsze tygodnie po Sierpniu chodziłem jak głupi, nie wiedziałem, jak z ludźmi rozmawiać. Kolejne miesiące pomogły mi trochę podźwignąć się z tego rozbicia. Nie ja jeden przecież byłem taki durny. Starsi i doświadczeńsi też. Wokół pełno było ludzi, którzy dali się wystrychnąć na dudka, którzy uwierzyli, a teraz wybałuszyli oczy z przerażliwego zdziwienia. Ba, marne to pocieszenie!...*

Zdzisław Cyganiak monologuje z emfazą, długie ręce w wiatrak rozpuszczając. Równie zapalczywie, równie gorąco i szczerze jest dzisiaj „przeciw", jak jeszcze wczoraj był „za". I ciągle pozbierać się nie może, wciąż pewnie bardziej emocje, niż rozsądek i umiar nim powodują, sprawiając wrażenie, jakby nowym bielmem miał wzrok zasnuty, ledwie stare bielmo opaść zdążyło.

— *Skurczybyki, kraj rozkradli i zrujnowali, a teraz my z głodu zdechniemy* — powiada ten rolnik z zawodu i zamiłowania. — *Nasze wielkie sukcesy doprowadziły do katastrofalnej klęski. Jednego pokolenia nie starczy, żeby Polskę z bagna i gnoju wyciągnąć.*

Myśli pewnie o swoim pokoleniu, bo ma dopiero lat 26. Najpierw prymusowska matura w renomowanym Technikum Rolniczym w Wojsławicach, potem wojsko, a od lat czterech— Kęblíny, gmina Zgierz, województwo miejskie łódzkie. Tu, w Kęblinach — posada wiceprezesa zarządu Robotniczej Spółdzielni Produkcyjnej. Spółdzielni przodującej — jak byśmy powiedzieli parę miesięcy temu. A dziś? Czort jeden wie, lepiej wcale nie wartościować.

Znam go od dawna, jeszcze z Wojsławic, z okresu raczkującej propagandy sukcesu. W reporterskiej laurce, jaką wtedy stamtąd przywiozłem, Cyganiakowi — ówczesnemu maturzyście i szefowi organizacji młodzieżowej — przypadło w udziale miejsce poczesne. Wykazywał już wówczas niekłamaną aktywność społeczną. Zostało mu to do dziś — działaczowi ZSMP szczebla gminnego, wojewódzkiego i centralnego.

— *Patrzę na te lata* — powiada teraz prezes — *niby to nic sobie nie mam do zarzucenia, ale hoduję potężnego kaca. Na pewno większego, niż ci wszyscy, co w tym samym czasie byli mniej aktywni. Może oni w porę zdążyli się połapać, co jest grane? A ja w tym biegu, z transparentem nad głową, zawsze w pierwszym szeregu.. Zanim się spostrzegłem. Cholera, to już chyba jakaś obsesja.*

Zrzucił przed chwilą gumowce i drelichy. Jeździł po okolicy ciężarówką papieru szukać, żeby było w co pakować porcje mięsa z gospodarskiego uboju dla pracowników. Papieru nie dostał, przywiózł więc plakaty. Jeszcze pachną farbą, a już nieaktualne. Zdewaluowały się, jak wszystko wokół. Dobrze chociaż, że do rąbki się przydadzą, aczkolwiek i z tym ubojem dwuznaczna moralnie sprawa. Ludzie w mieście mają tylko głodowe kartki.

Przywdziewa *Zdzisiek* wyjściowe spodnie i klubową marynarkę, węzeł krawata poprawia, komentując zjadliwie:

— *Tak właśnie wyglądała nasza rzeczywistość, widziana oczyma prominentów, czyli za pośrednictwem kamery telewizyjnej. Przyjeżdżała ekipa i Cyganiak wyskakiwać musiał z gumiaków. Chłopski pot i gnój nie mógł się jakoś pomieścić w kolorowym ekranie.*

Fotoreporter wypomni mu zaraz, że on sam nie pozwalał się jeszcze do niedawna fotografować w stroju roboczym. — *Tak? Możliwe.* — namyśla się prezes. — *Widać tak człowiek przesiąkł protokołem, że cały się w nim zatracił, biorąc fałsz i obłudę za oczywistość. No, pojechali...*

Jedziemy więc na skraj wsi, obejrzeć jedno ze strapień *Zdzisława Cyganiaka.*

Wyboista polna droga przechodzi nieoczekiwanie w podjazd z płyt betonowych, zawinięty w regularne koło na szczycie pagórka. Podjazd wiedzie na zaplecze willi, której płaska ściana z zakratowanymi oknami przywodzi na myśl więzienie. Front za to — wybiegający tarasem w stronę lasu — sam urok. Jego walory ocenić można należycie, stanąwszy u podnóża pagórka, na piaszczystej polanie, między wybujałymi jałowcami.

Rozległy taras i ogromne okna, palisada surowych kolumn, a drzwi wejściowe wielkie, niczym wierzeje stodoły. Oryginalny okaz modernistycznej architektury, czyli podmiejska willa *Biedermannowej*, żony łódzkiego fabrykanta, która cieszyła się nią parę zaledwie miesięcy. Budynek z 1939 roku w pierwszych już tygodniach okupacji odebrany został właścicielom: ulokował się w nim hitlerowski urząd celny.

Dom okazały — z pół tysiąca metrów w przekroju — lecz okrutnie zdewastowany. Tynki spękane, obmurówki się sypią, stolarka rozłazi. Wewnątrz — aż przykro patrzeć. Podłogi pozrywane, grzyb na ścianach, złuszczająca się farba. Dochowały się tylko tu i ówdzie ślady dawnej świetności: a to zgrabny kominek, to znów piec kaflowy, w hallu z kolei plafon z fajansowych talerzy, a w łazience — niebieska glazura.

— *Dopiero ostatnie lata obróciły pałacyk w ruinę* — stwierdza *Alfreda Stibban* z sąsiedztwa, oprowadzając nas po domu. — *Po wojnie była tu szkoła, prawie trzydzieści lat. I wszystko było, jak należy. A potem nowy podział administracyjny, szkołę wyrzucili, a wszystko stoi i niszczeje. Niby ma być remont, ale nikomu się z nim nie spieszy..*

— *Bo odnowa plany pokrzyżowała* — wtrąca *Cyganiak.* — *Mówią we wsi, że prezydent miasta Łodzi pałac sobie tu na weekendy szykował, ale teraz już nie pora na pałace.*

— *Rozmawiałam z tą panią, co to ma remontem kierować* — prostuje nasza przewodniczka — *Faktycznie mieli tutaj taki hotelik dla Urzędu Miasta robić, ale teraz dom wczasowy ma być. Niespieszno im jednak, bo co to za dom wczasowy: cztery pokoje na krzyż, wielkie, bo wielkie, ale tylko cztery i ten hall.*

— *Gmina lekką ręką oddała ten dom urzędowi* — kontynuuje prezes. — *Niby to WOSiR przejął. A my chodziliśmy, prosiliśmy. Trudna sytuacja mieszkaniowa na wsi. Można by systemem gospodarczym wyremontować, parę rodzin zasiedlić, a do wykorzystania nie tylko parter ale i ogromne poddasze, porządne sutereny. Ale co tam? Kogo tu ludzie obchodzą? Popatrzcie, tam za ogrodzeniem. Materiał nawieźli. Deski — szesnastki. Kilkadziesiąt metrów będzie. Metr od 2400 do 2500 zł. Cenny budulec leży w pakamerach i niszczeje. Niszczeje jak ta chałupa, która pewnie się prędzej rozleci, niż władze się przyznają, że błąd popełniły. A tu ludzie mieszkają, jak chłopi pańszczyźniani. Sami możecie zobaczyć!*

Wracamy do wsi, gdzie na zakręcie asfaltowej szosy przycupnęła chałupinka z bielonymi ścianami. Troje drzwi i dwa maleńkie okna od frontu.

— *To stara kuźnia* — słyszę objaśnienie — *ledwie się trzyma, w środku wilgoć, cztery klitki, jak więzienne cele, a trzy rodziny mieszkają, w tym jedna w trzech już pokoleniach. No, zajrzyjcie, uwaga na próg, bo zejście jak do piwnicy. Wyprowadzić ich nie ma gdzie. Wyremontować chałupy też nie możemy, bo jest bezpańska. W gminie taki bajzel w papierach mają, że dojść nie mogą, czyj jest ten dom. Cholery można dostać. Tu ludzie na kupie wegetują, a tam znów setki metrów kwadratowych stoją puste.*

Tam — po drugiej stronie jezdni, gdzie pośród ogrodu tkwi szary masyw niegdysiejszego dworu. Solidny piętrowy budynek z typową dla ziemiańskich zabudowań sylwetą.

— *Budynek ten pochodzi z lat dwudziestych* — opowiada — *Lucyna Włodarczykowa*, nauczycielka mieszkająca po sąsiedzku — *należał do dziedzica Olszowskiego. Po wojnie zakonnice „Caritasu' prowadziły tu sierociniec. Szkoda, że Królikowskiej nie ma, ona wie najwięcej, bo się u sióstr chowała... W latach pięćdziesiątych, jak likwidowali „Caritas", dwór przejęła Fabryka Dywanów im. T. Ajzena na kolonie letnie, które również i „Dywilan" utrzymał. W 1974 roku bodaj San.-Epid. przepędził kolonie, bo warunki techniczne i sanitarne były nieodpowiednie. Potem zainteresował się dworem POM w Rąbieniu. Chciał tu ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy dla załogi zrobić. Nie zdążyli się wziąć za remont, a już im to z powrotem zabrali...*

— *W ramach propagandy sukcesu* — przerywa *Zdzisław Cyganiak* — *ktoś wpadł na pomysł, żeby tu zrobić dom spokojnej starości dla rolników, co ziemię oddali. Gmina się wypięła, szumu narobiła. Jak dziś pamiętam — wiosną 1979 roku chyba to było — przed kamerami stanął naczelnik gminy Lutosławski i sekretarz komitetu Mirosławski, dla okrasy sobie jeszcze posła Karolaka dodali i dawaj nawijać, że taka wspaniała inicjatywa, że zawsze naprzeciw, po linii, na bazie, że wszyscy na to czekają...*

— *A co? Nie czekali?* — pytam.

— *Ludzie się tylko uśmiali. W całej gminie pewnie nie znalazłby się jeden chłop, co by na stare lata do jakiegoś domu starców szedł. Rolnik oderwany od ziemi, bez marnego nawet śpiachetka, działki przyzagrodowej, uschnie marnie... Nie to jednak ważne. Obiecali wtedy, że dom będzie gotów na jesieni. Przyszła jesień i nic. Minęła druga — też nic. Idzie trzecia — ciągle nic. Ot, słowa rzucone dla telewizji. Jeszcze rok czy dwa, a spychacze trzeba będzie przysłać i rozwalić tę ruderę!*

Potężny kasztanowiec ocienia dwór, który z zewnątrz prezentuje się nadal zdrowo i okazale. Do wewnątrz dostajemy się przez okno, chociaż później okaże się, że również i boczne drzwi nie bronią dostępu. Korzystają z tego najpewniej szabrownicy i wandale, bo w wielu pomieszczeniach przykre ślady dewastacji.

Na pierwszym piętrze w słonecznym hallu podłoga zerwana i poszycie rozryte, jak przez stado dzików. A jednak remont? — *Gdzie tam!* — Zdzisiek ręką macha. — *Głupi ludzie skarbów szukają. Skarbów szukali też w piwnicy, gdzie teraz wody po kolana. Żaby spłoszone nurkują w zakamarki. Nie jest jednak jeszcze tak źle, do szabrowania jeszcze co nieco pozostało. Na parterze spokojnie sobie stoi cenne pianino lipskiego Zemmermanna z 1906 roku. Podniszczone, ale w całości.*

— *Wszystko i to diabli wezmą* — irytuje się *Cyganiak.* — *Ot, gospodarze. I znów prosiliśmy nie raz, dajcie spółdzielni, dajcie organizacji, albo po prostu — wsi, to coś z tego zrobimy, bo szkoda. Wspomóżcie tylko funduszami i materiałami, radą. Gdzie tam! Walką byka z parowozem. Władza wie lepiej. A można by tu — na przykład — zrobić zajazd „Pod kasztanem", a nawet i dom mieszkalny. Tylko teraz, kiedy dopuścili do takiego stanu, miliony już są potrzebne na remont. A przecież kiedy rąbieński POM chciał to zrobić, zmieściłby się i w połowie dzisiejszych kosztów. Ręce opadają...*

Wychodzimy na zewnątrz. Prezes ze smętną miną, ożywia się dopiero, gdy do ceglanego budynku się zbliżamy — *Chlewnię tu wygospodarowaliśmy. Chodźcie nasze świnki zobaczyć!*

Tuczniki podnoszą się z legowisk, głośno pochrząkując, zaniepokojone obcymi. W korycie — resztki chleba.

— *Tak, tak. Chlebem też je skarmiamy!* — wyjaśnia ze zjadliwą satysfakcją *Zdzisiek.* — *Chleba naszego powszedniego 400 bochenków wrzuciliśmy im ostatnio do koryt. A tak, Łącznie tej wiosny już parę tysięcy pięknych chlebków. Odpadów?... Powiedzmy. Z tych odpadów pracownicy wybierali sobie pięknie wypieczone, pulchne i pachnące Jeden z moich ludzi chciał nawet do Słowika z „Solidarności" pisać: „przyjedź, Słowiku, sam zobacz, dlaczego w sklepach brakuje chleba. Ludzie mówią, że to sabotaż gospodarczy i polityczny.. A ja? Co ja? Jako prezes spółdzielni jestem zadowolony, bo oszczędności na paszy robię. Finansowe też, bo po dwa sześćdziesiąt za bochenek płacę. A jako obywatela szlag mnie trafia. Po pierwsze, nie wierzę, że w całości ten chleb ze zwrotów. Po drugie jeśli nawet ze zwrotów, to dlatego, że organizacja i transport nawalają, że jakość wypieku fatalna. Że wszyscy wszystko mają głęboko w d...*

— *Skąd dostajecie ten chleb?*

— *Z rozdzielnika, ze zgierskiego GS. A co, chcesz pisać?.... A, pisz, pisz, nic nie zmienisz.*

— *Pewnie nie, co najwyżej waszą spółdzielnię skreślą z rozdzielnika! I całe wasze starania na marne pójdą!*

— *Jakie starania, jakie starania?*

— *Przecież sami tego nie robią, musicie o chleb zabiegać.*

— *Słowo daję, że nie. Sami przywożą.*

Zdzisiek posapuje urażony, wraca jednak do tematu, kiedy zajeżdżamy do sąsiedniej Woli Branieckiej.

— *Może zapytać, dlaczego ten nasz chleb jest do kitu* — stwierdza, gdy zatrzymujemy się pod młynem wodnym, który pohukuje swoją maszynerią nad malowniczym stawem, spiętrzającym rzekę Moszczenicę.

— *Sprawa dziś już szeroko znana* — odpowiada kierownik *Bryszewski, fachman jakich mało, ze znanego młynarskiego rodu.* — *Receptura, to raz. A mąka, to dwa. Mąka właściwie najważniejsza. Państwowe młyny wyciskają ze zboża mąkę, aż krew leci. Byle szybciej, byle więcej. Garstka otrębów i podła mąka. A w naszych warunkach „pięćdziesiątka" — pół na pół — byłaby optymalna. Byłyby otręby na paszę, a i chleb nie marnowałby się. Ale taka polityka władz. Ostro się ją teraz krytykuje, co z tego, skoro psy szczekają, a młyny wciąż to samo...*

Młyn *Bryszewskiego* to, o dziwo, przykład gospodarności. Działa od międzywojnia, kiedy go Niemiec *Grams* postawił. Łatany własnym sumptem pracuje kilkadziesiąt lat bez kapitalnego remontu i wymiany urządzeń. Wygoda dla okolicy ogromna: głównie śrutuje zboże na paszę, a teraz — w dobie postępującej reglamentacji — coraz więcej mąki mleć zaczyna.

— *Nie cieszcie się za bardzo* — dorzuca łyżkę dziegciu *Cyganiak.* — *Nasi wspaniali gospodarze z gminy mało młyna nie przehandlowali prezesowi Karolakowi ze sztandarowej spółdzielni „Dąbrówka-Srebrna". Ledwie młyn wybronił się przed tymi zakusami.*

Wychodzi kierownik *Bryszewski* — umączony cały — przed swoje gospodarstwo. Pokazuje betonową kabinę, osłaniającą potężną turbinę:

— *Wiecie, panowie, co za solidna robota? Twarda klatka, jak stal. Ani rysy, ani pęknięcia. Czort wie, co oni do cementu dodawali, może szklaną wodę? Lali też beton bez przerwy, bo inaczej by spękał.*

— *Tak, solidna robota* — strapiony *Zdzisiek* zębami zgrzyta. — *Ja też widziałem takich, co lali bez przerwy, ale asfalt. Na paru już zebraniach wygarnąłem. Dwa i pół kilometra asfaltu zmarnowali, między Białą a Dzierzążną. Lali prosto na piasek, na nie utwardzony grunt. Władza zażyczyła sobie natychmiastowego dojazdu do gminnej szkoły*

Solidny piętrowy budynek z typową dla ziemiańskich dworów sylwetą.

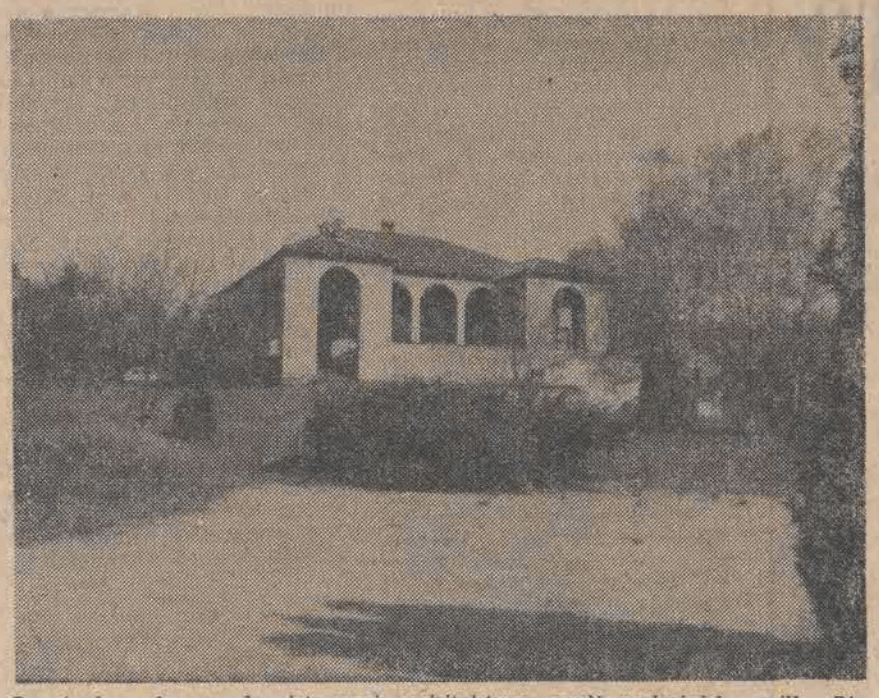

Oryginalny okaz modernistycznej architektury, czyli podmiejska willa Biedermannowej...

Foto.: Z. W. Nowak

zbiorczej, bo pewnie jakiejś kontroli się spodziewali. Termin wyznaczyli i asfalt poszedł. Gospodarze, psiakrew!

— A jeśli chodzi o cement! — monologuje w drodze do Kęblin. — *Chłop nie mógł dostać cementu, materiałów, żeby chałupę postawić. Ba, co ja mówię, oborę czy chlewnię. Ciągle mu się tylko zielone światło zapalało, a jak wjechał na skrzyżowanie — figa z makiem. Wybacz, chłopie, ale cementu mamy za mało, z materiałami nie nadążamy. A, chłop, głupi, wierzył... O, skręćmy tutaj, w lewo!*

I telepiemy się wyboistą drogą w las. — *Asfaltu nie zdążyli już położyć, bo odnowa przeszkodziła* — sarka *nasz przewodnik. — Proszę, gdzie się ten cement i materiały podziewały. Na tym kawałku jest pięćdziesiąt osiem działek z nielegalną zabudową. Nielegalnie i bezprawnie, ale za przyzwoleniem władz gminy.*

Idziemy między działkami. Domki różne, typowe i nietypowe, w sumie nic szczególnego, chociaż i tutaj trafia się piętrowa landara z pustaków.

— *Do sierpnia aż furczało na jej budowie* — słyszę wyjaśnienie — *a teraz cisza. Wiele działek zostało przez ich „właścicieli" wyraźnie porzuconych. Szukaj wiatru w polu. Ale wielu też z tych ludzi bezczelnie tu przyjeżdża, śmieje się nam wszystkim w nos.*

— *Czy posiadanie działki jest taką zbrodnią* — próbuję oponować.

— *Bezprawnie, nielegalnie. Skąd cement? Skąd materiały? Skąd pieniądze?...*

— *Ludzie, którzy całe życie...*

— *Dobra, dobra. Widzę dobrze, kto tu przyjeżdża. „Polonezami", dużymi „Fiatami". W większości młodzi. Też nieźle zarabiam, a stać mnie na rower i taką willę* — wskazuje drewnianą sławojkę. — *Nie to jednak najważniejsze. Pamiętacie, co powiedziała pani Stibban?*

Tak, pamiętam: — *Moi rodzice mieli tam, nad Moszczenicą, dwadzieścia morgów, gdzie rok w rok rosło żyto, a teraz tam dacze wyrosły, a my nie mamy co jeść!*

— *Właśnie, tu poszedł pod siekierę las. Dwanaście hektarów!* — gorączkuje się prezes. — *A gdzie indziej grunty orne. Piąta i szósta klasa, ale bywa druga i trzecia. Skandal! Zbrodnia! Jedziemy, sami zobaczycie!*

— *Tu były pola uprawne* — zatacza ręką łuk ponad szachownicą działek. — *A przecież ci wszyscy ludzie mają gdzie mieszkać bo to są ich drugie czy trzecie domy.* — Jesteśmy gdzieś na pograniczu Kęblin i Swędowa. Dziesiątki, setki domków i domeczków. Tysiące cegieł i pustaków, tony cementu. Kwintale bezpowrotnie straconego zboża. Tak przelicza Cyganiak, wskazując dramatycznym gestem gromadkę dzieciaków: — *Kto wie, może za miesiąc czy dwa błagać będą o kromkę chleba! A wiecie, że gmina Zgierz jest mistrzem gospodarności? Jeszcze do niedawna wierzyłem, że to za dobre wyniki, a teraz wiem już, że raczej za Sokolniki! Co się śmiejecie? Bo to ja nie wiem, kto mieszka w tamtym luksusowym miasteczku? A, że do rymu? Pewnie z wściekłości! Mistrz gospodarności, cholera!*

Przypomina mi się fragment rozmowy z dyrektorem łódzkiej delegatury NIK, Włodzimierzem Twardowskim:

— *W miejskim województwie łódzkim aż 2500 domków letniskowych wybudowanych legalnie i 2100 wzniesionych... nielegalnie. ...W gminie Zgierz utrzymuje się bardzo ciężka sytuacja mieszkaniowa, w związku więc z podziałem gruntów pod budownictwo jednorodzinne prawie 2000 osób złożyło podania na budowę domu. 1400 spośród nich załatwiono odmownie, podczas gdy działek było tyle, że starczyłoby dla wszystkich chętnych. Poprzedzielano je jednak ludziom z zewnątrz, którzy często nie mieli żadnych podstaw do ubiegania się o nie. Zwłaszcza w zestawieniu z tymi ludźmi, którzy chcieli sobie poprawić autentycznie złe warunki mieszkaniowe.*

— *Spekulacja? Kumoterstwo? Łapownictwo?*

— *W wielu przypadkach na pewno!* — odpowiedział mi wówczas dyrektor Twardowski, a teraz prezes Cyganiak komentuje:

— *Ludzie domagają się, żeby rozliczyć wreszcie Gierków i Jaroszewiczów, którzy nas wszystkich w nędzę i głód wpędzili! Niewiele na to jednak wskazuje, żebyśmy się doczekali. Sprawiedliwość u nas ma ciągle krótkie ręce. Króciutkie, skoro nawet tak blisko i nisko sięgnąć dotąd nie mogła, żeby lokalnych „mistrzów gospodarności" rozliczyć za wszystkie ich „zasługi".*

Trwa nasza podróż po mistrzowskiej gminie i trwa monolog strapionego C., który sprawia wciąż wrażenie, jakby mu nowe bielmo wzrok zasnuło, ledwie stare opaść zdołało. Bielmo? Przecież on uważa, że dziś widzi ostro i jasno, jak nigdy dotąd. Niech go ktoś tylko spróbuje przekonać, że jest inaczej.

Ja w każdym razie nie podejmuję się...

Dalszy ciąg ze str. 1

winąć w pełny kształt wizji nowego społeczeństwa, że myśl teoretyczna dopiero w sprzężeniu zwrotnym z praktyką pozwala szukać odpowiedzi na rodzące się w rozwoju pytania.

Dominował pogląd, że swobodna refleksja politologiczna, czerpiąca z dorobku niekoniecznie tylko marksistowskiego, prowadzi wprost do warcholstwa ideologicznego i w ogóle intelektualnego. Zgubiła się gdzieś, i co gorsza, jak dotąd nie odnalazła — potrzeba i konieczność stałego, twórczego rozwijania marksizmu-leninizmu, bez nadużywanego straszaka rewizjonizmu. Przykładem takiej ledwie zarysowanej przez klasyków kwestii, domagającej się dalszego rozwoju, niech będzie choćby filozofia człowieka.

Wszystkie te przyczyny bardzo głęboko wpłynęły na kształt aktualny współczesnej myśli politologicznej w Polsce. Dwudziestu lat trzeba było, by dojrzało zrozumienie wagi i znaczenia nauk politycznych dla nauki w ogóle, a dla kształtu życia społecznego w szczególności, Polskie Towarzystwo Nauk Politycznych, istniejące od 1957 roku, ma niewątpliwie ogromne zasługi w chronieniu już istniejącego dorobku i stymulowaniu pożytecznych inicjatyw w tym względzie. Powstają nowe ośrodki naukowe zajmujące się naukami politycznymi, tworzące stopniowo zwartą strukturę organizacyjną, wśród nich Komitet Nauk Politycznych PAN i kilkanaście instytutów.

Potrzeby życia społecznego wymusiły konieczność kształcenia kadr fachowo przygotowanych do działalności de publicis. Animatorów polityki, kultury, oświaty politycznej, speców od propagandy, itp.

Wydawać się może, iż tak solidne fundamenty organizacyjne, gwarantują wysoką rangę tej dyscyplinie w duchowym życiu narodu i w praktycznej działalności politycznej. Tymczasem tak nie jest!

Pozwalam sobie twierdzić, że jest to klasyczny przypadek góry, która urodziła mysz. W czym rzecz? Ano w tym, że wielkie wysiłki organizacyjne nie pociągnęły za sobą dopracowania celów i środków, jakim te wysiłki mają służyć. Zasadniczy ideał powołania politologicznej struktury, był zbożny, ale życie, jak to życie, popłynęło własnym torem. Tak więc stan faktyczny nauk politycznych dziwnie mało ma wspólnego z założonym ideałem.

Obok właściwych całemu szkolnictwu wyższemu kłopotów, o których mówiono już wielekroć, w interesującej nas materii nakłada się inna jeszcze płaszczyzna. Oto trzeba wypuszczać w świat, między ludzi, speców od „roboty w umysłach". Delikatna to rzecz i jak żadna inna wrażliwa na partactwo, uproszczenia i głupstwa. Tu popełnione błędy miewają skutki ważące, bywa, na pokoleniach. Powstaje zatem szereg wątpliwości, wyrażających się w pytaniach: Czy absolwenci nauk politycznych są do takich zadań przygotowani — i jak? Czego się uczą i czego wymaga się od nich? Czy działaniem swym nie spowodują ciężkich krzywd społecznych? Czy wreszcie wiadomo, kto to taki ten politolog i do czego mógłby się nadać? Przede wszystkim zaś, należy pytać, czy nasze życie społeczne potrafi wykorzystywać naukowe osiągnięcia politologiczne dla podnoszenia poziomu jakości praktyki.

Doświadczenie ostatniego półrocza każe szczególnie analizować wszelkie nasze dzienne sprawy, także więc i te. Magisterskie studia nauk politycznych rozpoczęły działalność od 1974 r. W założeniu miały istnieć trzy specjalizacje: ogólnoteoretyczna, dziennikarska, nauczycielska.

Oczywiście dla najlepszych studentów przewidziana była możliwość dalszej pracy na uczelni. Tak być miało. A jest?...

Tylko dwa Instytuty Nauk Politycznych — warszawski i katowicki, prowadzą specjalizację dziennikarską. Pierwszy, bo ma znakomite możliwości wykorzystania „dydaktycznego" licznego grona najlepszych dziennikarzy. Drugi, bo bogaty w pieniądze i troskliwość mecenatów. Wszystkie pozostałe pracują wedle programu będącego niezręczną kompilacją specjalizacji ogólnej i nauczycielskiej. Taki ni pies ni wydra.

Jestem przekonana, że w tym właśnie punkcie popełniony został pierwszy ciężki błąd, uziemiający całą ideę. Albo tworzy się ośrodek naukowy przygotowujący kadry do pracy w aparacie partii politycznych ,organizacji społecznych ,dla ogniw oświaty politycznej, środków propagandowych, dla masowego przekazu od gazet i radiowęzłów zakładowych począwszy itd...., albo powstaje jeszcze jedna szkoła nauczycielska. Czy to ma sens? Czy nie należy raczej wykorzystać istniejących wydziałów pedagogicznych na uniwersytetach lub Wyższych Szkół Pedagogicznych? Przecież z założenia właśnie one mają kształcić nauczycieli wszelkich specjalności. Mają fachową kadrę naukową, mają środki, wypracowane metody i wszystko co potrzeba, by móc i umieć podołać wychowaniu pedagogów z zakresu wychowania obywatelskiego i propedeutyki nauki o społeczeństwie, od szkół podstawowych do średnich wszystkich typów.

Instytuty Nauk Politycznych nie powinny być erzatzem szkoły nauczycielskiej. Nie po to powstały, by znów powielać istniejące już słabości szkolnictwa nauczycielskiego. Jakiż jest sens tworzenia odrębnej struktury takiego szkolnictwa? Nie stać nas na to!

Nikt rozsądny nie zakwestionuje faktu, iż politolog winien znać psychologię, elementy pedagogiki, metodyki nauk politycznych. Rzecz nie w usunięciu tych przedmiotów z programu nauczania, lecz w proporcjach. A program ten wart jest rozbioru. Obok fundamentów wykształcenia, jak filozofia, socjologia, historia, ekonomia, prawo, wykładane są przedmioty zawodowe: cybernetyka społeczna, logika, organizacja i zarządzanie, metody socjotechniczne, języki obce wreszcie. Absurd zaczyna się w momencie newralgicznym dla zawodu politologa. **Przedmioty będące kwintesencją, kręgosłupem studiów, jak doktryny polityczne, religioznawstwo, teoria polityki, teoria propagandy, polityka społeczna i gospodarcza, nauka o partiach i szereg innych, znajdują się w upokarzającej mniejszości w rzeczonym programie.** Przodują zaś takie, jak dydaktyka, pedagogika, higiena szkolna(!), czy techniczne środki nauczania (czyli jak wygląda rzutnik i do czego też może się przydać). Jakim cudem da się wykształcić rzetelnego politologa w takim układzie:

4 semestry pedagogiki, 2 — dydaktyki, cały semestr na higienę szkolną, oraz cały semestr

KOMU POLITYCZNYCH?

na rzeczone rzutniki. **Tymczasem na teorię polityki czy propagandy musi wystarczyć także tylko jeden semestr; tyleż na religioznawstwo!**

Z drugiej strony — wskazana wyżej ilość przedmiotów, nazwijmy je ogólnonauczycielskich, nie wystarcza także na przygotowanie nauczyciela z prawdziwego zdarzenia. Po czterech latach takiej edukacji powstaje zadziwiający stwór. Niedouczony nauczyciel i byle jaki politolog. Nie bardzo nadaje się toto do szkoły (szczególnie, gdy natura poskąpiła instynktownego talentu pedagogicznego, i gdy motywacji do tego fachu brak). Kwalifikacje „polityczne", także nietęgie. Nie wiadomo co gorsze.

Oczywiście każdy studiujący z potrzeby serca, uczy się sam ale ze szkoły, wyższej tym bardziej, trzeba wynieść przynajmniej solidny fundament.

Tyle program merytoryczny. Błędów w „sztuce" takoż nie brak, potęgują one niedostatki treści. Studenci i absolwenci nie potrafią mówić i pisać. Nie nauczyła tego szkoła średnia, studia też nie. Nie uczy się trudnej, acz niezbędnej w zawodzie sztuki dyskutowania, szczególnie z ludźmi o innych poglądach, nie ma ćwiczenia umiejętności klarownego ,logicznego formułowania myśli i wypowiedzi, argumentowania słowem erystyki. **Toleruje się natomiast pseudointelektualny bełkot, okrągłe zdanka jedynie słuszne, wodolejstwo, a jak czasem emocje poniosą, to i wolną amerykankę.** To samo tyczy się pisania, kiedy to okazuje się, jak złośliwie oporną materią bywa słowo. Brak zupełnie takich form, które pomagają ćwiczyć pamięć słuchową, czy umiejętność samodzielnego opracowywania naukowego problemu, co widać w mękach pisania prac magisterskich. Najdotkliwszy jednak staje się katastrofalny poziom czegoś, co nazwałabym uczeniem myślenia politycznego. Uczeniem rozumienia historii nie jako zbioru dat i faktów już martwych — lecz jako ciągle trwającego procesu rozwoju, gdzie wszystko ma swą przyczynę i skutek. Zaniedbany jest wymóg komplementarnego operowania wiedzą z różnych dziedzin, zdolności do wyłuskiwania istoty zjawisk.

Żadna z form pracy dydaktycznej ze studentami nie pomaga formować prawdziwie naukowego światopoglądu na właściwym poziomie ogólności, koniecznym dla obejmowania całokształtu rzeczywistości, unikania myślenia parterowego, osiągania pewnego dystansu. A przecież myślenie polityczne na wysokim poziomie to warunek sine qua non wykonywania zawodu „politycznego". Pomijanie potrzeby takie wychowywania przypomina kształcenie lekarza z pominięciem etyki.

W ten sposób doszliśmy do kolejnego problemu. Problemu motywacji studentów wybierających nauki polityczne. Obserwacje każą przypuszczać, że około połowy zdających egzaminy wstępne, ma motywację negatywną, lub w najlepszym razie ambiwalentną. Pierwszy rok tylko w niewielkim stopniu zmienia te proporcje. Jedna trzecia przyszła w wyniku świadomej decyzji, zainteresowań. Jedna trzecia mogłaby doskonale studiować cokolwiek, z równym brakiem serca, no a reszta po prostu chce mieć dyplom. Jakikolwiek. Duża liczba studentów uwierzyła w ową obiecywaną specjalizację dziennikarską, część zainteresowana była pracą naukową, lub innymi formami pracy. Natomiast znikoma ilość skłaniała się ku specjalizacji nauczycielskiej. W końcu mało kto wybierał nauki polityczne z myślą o tym zawodzie. Tymczasem okazało się , że nie ma żadnego wyboru: wszyscy nie pytani o zgodę, okazali się przypisani do belferki. Lepiej nie myśleć, jak poradzą sobie nauczyciele mimo woli i z przypadku. A raczej — czym prędzej należy o tym pomyśleć. Cała nadzieja w realizacji Porozumienia Łódzkiego.

Tym pilniejszym zadaniem staje się podniesienie wymagań, nie nazbyt obecnie wysokich, tak na egzaminach wstępnych, jak i w toku studiów. Dotyczy to poziomu merytorycznego, poziomu ogólnej sprawności intelektualnej (swoboda operowania wiedzą w sposób żywy, nie schematyczny, umiejętność formułowania własnych ocen i poglądów) oraz poziomu uświadomienia politycznego i etyczno-moralnego. Szczególnie winno się podkreślać wymagania stawiane absolwentom nauk politycznych przez społeczeństwo i ich wobec niego odpowiedzialność.

Następny supeł, to zaplecze materialne. W tej jednak materii zapisano już wołową skórę. Są to bolączki powszechne w szkolnictwie wyższym i bez głębokich zmian strukturalnych niewiele można zmienić. Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, oby rychła, da przynajmniej organizacyjne ramy takim zmianom, choć stan gospodarki przynieść może poprawę dopiero po dłuższym czasie.

Problem powyższy ma też związek z samą organizacją studiów. Zły rozkład zajęć i wykładów, rozpleniona paznokciowa metoda uczenia się i nauczania (stąd, dotąd), tryumfy zasady — wykuć, zadać, zapomnieć — oto kilka zaledwie zjawisk wypaczających sens studiowania.

Kadra naukowa całej nauki polskiej dotknięta została zgubną polityką lat ubiegłych, więc i nauki polityczne nie uniknęły zniszczeń. Może nawet w większym stopniu, niż inne dyscypliny, albowiem ozdabianie prominentnych foteli dyplomem magistra nauk politycznych było w szczególnej modzie. Fala prasowych artykułów na ten temat dowodzi wagi problemu.

W zarysowanym tu obrazie brakuje jeszcze jednego elementu. Chodzi o kuriozum studiów zaocznych na naukach politycznych. Co roku przyjmowano na studia dzienne około 65—70 osób, ze stałą tendencją do ograniczania liczby przyjęć do ok. 45-50 osób. Na studia zaoczne przyjmowano tymczasem dwakroć większą liczbę studentów. Wytworzyła się więc sytuacja, w której podstawą istnienia Instytutów Nauk Politycznych stali się właśnie zaoczni, a nie stacjonarni studenci. Idźmy dalej. W ciągu dotychczasowych trzech lat funkcjonowania nauk politycznych, we wszystkich pięciu instytutach (licząc ok. 50—55 absolwentów rocznie), wypuszczono w świat ok. 750 dyplomantów. Nie bardzo wiadomo co z nimi robić (co też jest pikantnym smaczkiem polityki naukowej). Kłopoty ze znalezieniem pracy są bardzo duże. Oczywiście pracy zgodnej z wykształceniem , bo w końcu część absolwentów jakieś zatrudnienie znajduje. Ale chyba nie o to by chodziło?... Proporcje między ilością studentów stacjonarnych i zaocznych, potęgują wszystkie wspomniane trudności. Nie sposób też nie wspomnieć o znanych powszechnie wątpliwościach związanych z jakością, wartością społeczną i w ogóle sensem tworzenia tego rodzaju kanałów zdobywania wykształcenia wyższego. Praktyka niestety dowodzi, że trwa zarówno „stacjonarna" jak i „zaoczna" masowa produkcja magistrów a znów konkurencja na rynku pracy znacznie osłabia pozycję wyjściową dla stacjonarnych studentów. Konkurencja to mocno nierówna, zważywszy przewagę ilościową oraz — posiadanego stażu pracy studentów zaocznych.

I wreszcie — sprawa najistotniejsza. Niedobra praktyka polityczna i fatalne obyczaje spowodowały społeczną deprecjację rangi nauk politycznych i ludzi z nimi związanych. W ciągu wielu lat narastała nieufność i krytyka rzeczywistości politycznej; szła za tym powszechna dezaprobata błyskawicznego oblekania się w dyplomy magistrów nauk politycznych wielu większych i mniejszych dygnitarzy.

Niewyraźna opinia otaczała więc absolwentów tego kierunku w ich wędrówkach za pracą. Los złośliwy dotkął szczególnie tych, którzy otrzymali dyplomy latem ubiegłego roku. Sierpień przyniósł wstrząs ozdrowieńczy, proces narodzin nowego życia społecznego trwa nadal, niosiąc ze sobą, co naturalne, falę krytyki, rozrachunków i emocji. W ten szalony nurt musieli wejść świeżo upieczeni „polityczni". To bardzo szczególny i jedyny w swoim rodzaju egzamin, jaki przyszło im zdawać przed ludźmi i przed sobą. Chaos gospodarczy spiętrzył wszystkie trudności ze znalezieniem pracy. Przy tym odium nieufności i niechęci i ich dotknęło. Trudno się dziwić nierzadkiej opinii uznającej ich za dziedziców ancien regime'u tymczasem zaś akurat teraz przyszedł czas na fachowców — politologów z prawdziwego zdarzenia.

Pisząc wszystko co powyżej, kierowałam się nadzieją, iż uda mi się zapoczątkować tak potrzebną w tej materii dyskusję. Wiele głosów, poglądów, propozycji, pomogłoby uświadomić szerokim rzeszom społeczeństwa wagę problemu i konieczność rychłego rozwiązania. Przedstawiając tak rozległe zagadnienia, nie sposób uniknąć pewnej powierzchowności w zarysowanym obrazie. Jest to raczej próba unaocznienia ważkiego problemu. Dopiero rezultaty polemiki pozwolą skonkretyzować szereg zaledwie zasygnalizowanych kwestii.

JOLANTA WROŃSKA

KAMIEŃ RZUCONY W GÓRĘ

O krytyce filmowej rozmawiają: studenci reżyserii filmowej Piotr Mikucki i Adam Sobolewski, student kulturoznawstwa Paweł Edelman oraz z ramienia redakcji Tadeusz Szczepański.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI: — Spotykamy się w sytuacji dosyć dwuznacznej. Dwuznaczny jest przedmiot naszej dyskusji — krytyka filmowa. Dwuznaczny jest nasz w tej dyskusji udział. Wszyscy zajmowaliśmy się bardziej czy mniej incydentalnie pisaniem o filmie, a dwaj z panów wchodzą do zawodu reżysera. Nie zostaliście wprawdzie chyba dotąd poddani osądowi krytyki, ale macie chyba panowie wyrobione opinie na jej temat.

PIOTR MIKUCKI: — Kiedy przed laty współorganizowałem w Uniwersytecie Łódzkim Koło Naukowe Filmoznawców, będące de facto klubem młodych krytyków, punktem odniesienia był dla mnie zbiór tekstów Rafała Marszałka „Powtórka z życia". To były teksty stare. Nowych nie było mimo że Marszałek miał wówczas lat trzydzieści kilka. Spotkałem go nieco później, w małej podgórskiej miejscowości, w której ku mojemu zdumieniu wbijał do głowy uczestnikom teoretycznej sesji filmoznawczej prawdy wydawałoby się oczywiste. To, że kino jest domeną idei, a nie znaków. Ta ponura sesja była rzecz jasna miejscem zsyłki, a jej powodem — jak sądzę — przywiązanie do prawdy wydawałoby się oczywistej — że kino jest domeną idei, a krytyka sztuką ich poszukiwania. Wtedy widziałem Marszałka po raz ostatni.

T.S.: — Był potem krytykiem „Zwierciadła", co jest pewnym signum temporis. Nie świadczy to rzecz jasna, o Rafale Marszałku, lecz o sytuacji krytyki.

P.M.: — To tak, jakby Andre Bazin sprzedawał bilety w kinie Przypadek Marszałka nie jest wyjątkiem. Było więcej miejsc zsyłki: Instytut Badań Literackich, redakcja „Filmu na świecie", Towarzystwo Kursów Naukowych — i więcej zesłanych choćby Mętrak, Wojciechowski, Werner. Ten zestaw nazwisk wiele mówi o przyczynach kryzysu. Trudno rozmawiać o krytyce, jeśli pozbawia się ją ludzi najcenniejszych.

ADAM SOBOLEWSKI: — Na mnie krytyka nie wywarła nigdy najmniejszego wpływu, bo tej krytyki nie ma i bez względu na to czy Piotr przytoczy dokonania Rafała Marszałka czy nie, twierdzę, że trzydziestopięciolecie to kryzysowa sytuacja humanistyki w ogóle. Twierdzę, że krytyki filmowej jako dziedziny życia kulturalnego nie było. Było to po prostu piśmiennictwo i to zorganizowane na przemyślnych zasadach mafijności. Takie odnoszę wrażenie z mojego pobytu w tym środowisku i to pobytu krótkotrwałego.

PAWEŁ EDELMAN: — Organiczny sens krytyki jako zjawiska intelektualnego czy jako składnika kultury polega na pośrednim kształtowaniu zjawiska, które jest tej krytyki przedmiotem. W świecie sztuki sens ten realizuje się przez prowadzenie dwupłaszczyznowego dialogu — po pierwsze z twórcą, po drugie z odbiorcą. W naszym układzie kultury sens ten został podwójnie zachwiany. Pierwszy — płaszczyzna dialogu: krytyk-odbiorca sztuki nie istnieje, a to z tej przyczyny, że w naszym kraju kinematografia, bo o niej przecież mówimy, finansowana jest przez państwo. Polityka artystyczna kształtowana jest niemal bez związku z zainteresowaniami widowni, czego dowodem może być działalność zespołu filmowego „Profil". Efektem usługowa rola krytyki, która w tej sytuacji winna zdaniem producenta tłumaczyć jego decyzje a nie — upominać się o prawa widowni. Krytyka nie reprezentuje zatem odbiorcy i nie wpływa nań efektywnie — kto usłuchawszy dwa razy rad pani Samsonowskiej natnie się szpetnie, za trzecim razem da się namówić koledze z pracy. Z drugiej zaś strony z tych samych przyczyn dialog między krytykiem i twórcą jest również utrudniony, jeśli nie niemożliwy. Po pierwsze twórcę obchodzą jedynie opinie mocodawcy — od niego przecież zależą jego losy, a po drugie recenzent jest uzależniony od tego samego mocodawcy i także realizuje jego zalecenia. Błędne koło zamyka się.

W systemie tym na krytykę nie ma miejsca, krytyka zamienia się w metodyczne perswadowanie ustalonych dogmatów. Twórczość artystyczna kieruje się więc mechanizmami, o których nie można powiedzieć, by były organiczne, by umożliwiały samoregulację. Stąd właśnie krytyka z braku możliwości dialogu obumarła do szczętu.

T.S.: — Krytyka działa w trójkącie, który kiedyś określił Marszałek — między mecenasem, widzem a twórcą. W naszej sytuacji dzięki takim a nie innym mechanizmom życia społecznego jest to Trójkąt Bermudzki. Krytyka po prostu w nim niknie. Brak również ingerencji umysłów wokół stanu kina — z jednej strony między twórcami, z drugiej między krytykami. Nie jest u nas możliwa sytuacja, jaka zaistniała we Francji, gdzie pierwszy impuls odbudowy sztuki i ruchu umysłowego wokół niej, tak w przypadku impresjonizmu filmowego jak i nowej fali, wyszedł od krytyki. Niemożliwa jest u nas sytuacja, w której krytycy i twórcy lub reżyserzy i krytycy w jednej osobie stworzyliby wspólny program kina. Jest stan wzajemnej nieufności czy nawet wrogości. Środowisko jest podzielone, a ofiarą pada zdezorientowany widz. Nie przywiązywałbym jednak tak dużej, jak pan Paweł, wagi do dialogu z widzem. Widz jest w tym równaniu elementem najbardziej nieobliczalnym. Nie wiadomo często, co widz wybierze, jakie wartości preferuje. Koncepcja krytyki jako ciotki guwernantki prowadzącej widza za rękę mnie przynajmniej nie odpowiada. Bardziej ożywczy dla stanu krytyki w Polsce byłby wspólny front krytyków i twórców.

P.M.: — Porozumienie, jakiego pan szuka działało w ostatnich latach incydentalnie w postaci grupy ludzi skupionych wokół tzw. kina moralnego niepokoju. Była to jednak nie tyle formacja intelektualna ile raczej ugrupowanie powstałe dla celów taktycznych, doskonale zresztą dla mnie zrozumiałych. Było to ugrupowanie, które musiało bronić społecznych interesów kina, ale nie jego interesów rozumianych szeroko — społecznie i artystycznie. Na sztukę zabrakło — z konieczności — miejsca. Przy okazji wytworzyła się stylistyka wypowiedzi filmowej, a już nie krytycznej.

T.S.: — Krytyka wówczas milczała, bo musiała milczeć. Fenomenem charakterystycznym dla naszego życia społeczno-politycznego, był fakt, że jeden z najoryginalniejszych — upieram się przy tym określeniu — najoryginalniejszych krytyków: Zygmunt Kałużyński, został odsunięty przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich za krytykę tych filmów. Krytykę — jak sądzę — bezstronną, to znaczy nie manipulowaną. Kiedy zaczyna się walka polityczna — zaczyna się, mówiąc krótko, kung-fu. Ofiarą padł tym razem Kałużyński.

P.M.: — To jest nieszczęście naszej kultury od stuleci. Z zachowaniem należnych proporcji — ta sama była istota sporu między towiańczykami a Słowackim na tle krytyki Mickiewicza. Racje wyższego rzędu musiały ustąpić przed pragmatyzmem politycznym.

T.S.: — Czy wynika to z konieczności społecznej, czy z charakteru narodowego?

P.M.: — Charakter narodowy jest pochodną konieczności społeczno-politycznych, to znaczy pewnych niezmiennych od stuleci uwarunkowań, które określa się u nas zbyt wąskim mianem uwarunkowań geopolitycznych. I tu znów z przerażeniem dostrzegam, jak silnie ciążą nad naszą kulturą — w tym wypadku nad kinem — mechanizmy społeczne, które Paweł najtrafniej nazwał nieorganicznymi. Kultura ma wynikać ze sterowania, którego cele znamy w postaci frazesowych wytycznych, ale które tych celów nie spełnia, bo nie może ich spełniać. Choćby dlatego, że mamy do czynienia ze stałą karuzelą personalną uniemożliwiającą organiczny rozwój.

A.S.: — Myślę, Piotr, że byłoby bardzo dobrze, gdyby to zależało tylko od karuzeli stanowisk, tymczasem wyjaśniając sprawę trzeba sięgnąć głębiej. Jeśli o krytyce filmowej mówić nie możemy, to wynika to po prostu z elementarnych założeń doktrynalnych. I to trzeba sobie po prostu powiedzieć, żebyśmy nie tracili tu czasu, bo tak samo możemy za chwilę konstruować takie same parabole, jak to, że partia odeszła od norm leninowskich i trzeba te normy przywrócić, by wszystko było już w porządku. Jeśli sobie nie odpowiemy uczciwie, że jest, jak jest, to znaczy, że film w niektórych tępych, magnackich łbach jest w dalszym ciągu najważniejsza ze sztuk, a skoro tak, to film musi zostać zmonopolizowany, to nie dotrzemy do sedna sprawy. Film nigdy nie był traktowany jako sztuka, a tylko w kategoriach użyteczności...

T.S.: — ...propagandowej.

A.S.: — Oczywiście, że tak. Jeżeli tak, to o sztuce filmowej pojmowanej w kategoriach czystych mówić u nas trudno (i nie podważam tu nominacji do Oskara). Film nie funkcjonował u nas nigdy jako sztuka i prawdopodobnie nieprędko zacznie. Skoro kinematografia jest chora i to chora z przyczyn doktrynalnych, to prostą konsekwencją jest to, że stan polskiej krytyki filmowej — czy piśmiennictwa filmowego — to stan permanentnej schizofrenii. Jeżeli dziedzina sztuki jest chora, to opisywactwo jest również chore. Dlatego krytyki filmowej nie ma u nas i nie może być. Jest tylko piśmiennictwo i to na zasadzie stajni i serwilizmu.

T.S.: — Panie Adamie, myślę, że pan nieco przejaskrawia. Prócz tego, że były rygory i to niesłychanie sztywne, to jednocześnie każdy uciekał z krytyki w tę stronę, która była mu najbliższa, w której się najlepiej czuł. Ta selekcja była także oddolna — chciałbym w to wierzyć. To, co pan powiedział, to wizja czasów stalinowskich.

A.S.: — Ależ oczywiście. Przecież selekcja negatywna obowiązywała nie tylko w doborze ministrów, ale w ogóle. To wszystko działa na zasadzie wzajemnego porozumienia się. Umówmy się, że ja się nazywam redaktor, a ty jesteś krytyk filmowy. I w ten sposób zostały rozdzielone tak zwane funkcje społeczne. I nie ma wtedy znaczenia, czy zmienia się szef resortu — karuzela stanowisk trwa, a doktryna jest niezmienna.

P.M.: — Zgoda, lecz jeśli obsadą stanowisk rządzi właśnie doktryna i jej aktualne potrzeby to ona bierze na siebie odpowiedzialność za następstwa tej obsady.

T.S.: — Panie Piotrze, redaktorzy się zmieniają, lecz korpus krytyki pozostaje. Piszą ci sami ludzie, bo innych nie ma.

P.M.: — Zgoda, taki jest właśnie sens sformułowania karuzela personalna. Ci sami ludzie wirują po tym samym okręgu wokół tej samej osi. Kto się nie zgadza, ten nie wiruje, co sprawia, iż zawód, który winien być zawodem chronionym, to znaczy który winien dawać poczucie bezpieczeństwa socjalnego polegającego na wynagradzaniu za pracę, a nie za poglądy, takim zawodem nie jest. W związku z tym ludzie wykonujący ten zawód są stopniowo deprawowani i...

T.S.: — ...i po prostu uczciwi przestają pisać. Dlatego przestał pisać Michałek. Przestał pisać Marszałek. Werner i Mętrak zostali odsunięci. To jest sytuacja pola krajobrazu po bitwie.

A.S.: — To jest pole krajobrazu przed bitwą, bo teraz to się zacznie.

T.S.: — Jedno nie przeczy drugiemu. Ta dyskusja powinna być jakimś kamykiem w tej walce. Czy widzimy przed krytyką filmową jakieś szanse?

A.S.: — Trzeba po prostu zdemistyfikować słowo kontrrewolucja. Bieńkowski powiedział, że specyfiką naszego systemu, a wyrażał się na temat zupełnie innej niż krytycy filmowi grupy ludzi — większej znacznie, jest odrzucanie jakichkolwiek prób samoregulacji, to jest określanie tych prób mianem dywersji ideologicznej, wstecznictwa czy rewizjonizmu. Nawet jeśli po latach się okaże, że ten „rewizjonizm" miał ręce i nogi, co jest potwierdzane biciem we własne piersi, to i tak tych ludzi „ze środka", to znaczy tych „rewizjonistów", którzy wcześniej to zauważyli, w dalszym ciągu traktuje się jak wrogów.

Należy także zdemistyfikować samą zasadę funkcjonowania nauk humanistycznych, w których obowiązuje kanon prawdy jedynie słusznej i nie pozwala się interpretować dzieł Marksa czy Lenina. Jeśli się z tego nie zrezygnuje, to nie będzie krytyki filmowej, bo powiedzmy, że mówimy wciąż o krytyce. Szanse przed krytyką filmową widzę z bardzo prostego powodu. Nieprzypadkowo trwają od pół roku wzajemne macania i mrugania oczami między Ministerstwem Kultury i Sztuki a Stowarzyszenie Filmowców Polskich. Jeżeli ministerstwo zaakceptuje statut zespołów filmowych, które w jego myśl działałyby na zasadach zdroworozsądkowych, to wtedy logiczną konsekwencją będzie narodzenie się krytyki filmowej, jako spełnienie zapotrzebowania społecznego. Jeśli o powstaniu filmów decydować będą zespoły i jeśli zdjęte zostanie to straszliwe odium wszechogarniającej kontroli ideologicznej, jeżeli zostanie spełniony w kinematografii ten prosty warunek, to wtedy będziemy mogli rzeczywiście rozmawiać o celach i potrzebie funkcjonowania krytyki. Dziś widzę w waszej sytuacji fałsz.

P.M.: — Takie zmiany muszą się dokonać natychmiast, bo tylko trzy lata dzielą nas od roku 1984.

T.S.: — Jaki byłby dla panów ideał krytyka?

A.S.: — Chciałbym spotkać krytyka, który mnie...

T.S.: — ...pochwali.

A.S.: — Nie — zapłodni.

T.S.: — Mówiono tak o Bazinie. Bunuel twierdził, że Bazin odkrył mu w jego filmach rzeczy, których istnienia sam się nawet nie domyślał.

A.S.: — Chciałbym, żebym po przeczytaniu książki krytycznej był zwolniony z obowiązku sięgnięcia po publikacje Towarzystwa Kursów Naukowych. Chciałbym, żeby krytyka zajęła się badaniem rzeczywistości poprzez film.

P.E.: — Zdrowa sytuacja krytyki filmowej to taka, w której krytyka odzyskałaby swój sens, swoją funkcję, gdyby nawiązała kontakt ze swoimi adresatami. Warunkiem tego stanu rzeczy jest — wstyd wciąż powtarzać — niezależność od instytucji i dogmatów.

P.M.: — Chcę krytyki, która skutecznie upomni się gdy ponownie mecenas będzie ignorował talent tej miary, co zmarły niedawno Wojtek Wiszniewski.

T.S.: — Proszę panów! Były zbiory tekstów krytyczno-filmowych zatytułowane w sposób akcentujący charakterystyczne dla poczynań krytyka poczucie daremności: KTT — „Grochę o ścianę", Rafała Marszałka — „Kamień w wodę". Myślę że naszą dyskusję możemy w przeciwieństwie do tytułu książki Marszałka nazwać tytułem filmu Sandora Sary „Kamień rzucony w górę".

P.M.: — Ciekaw jestem, kto ten kamień pochwyci.

Opracował: P. M.

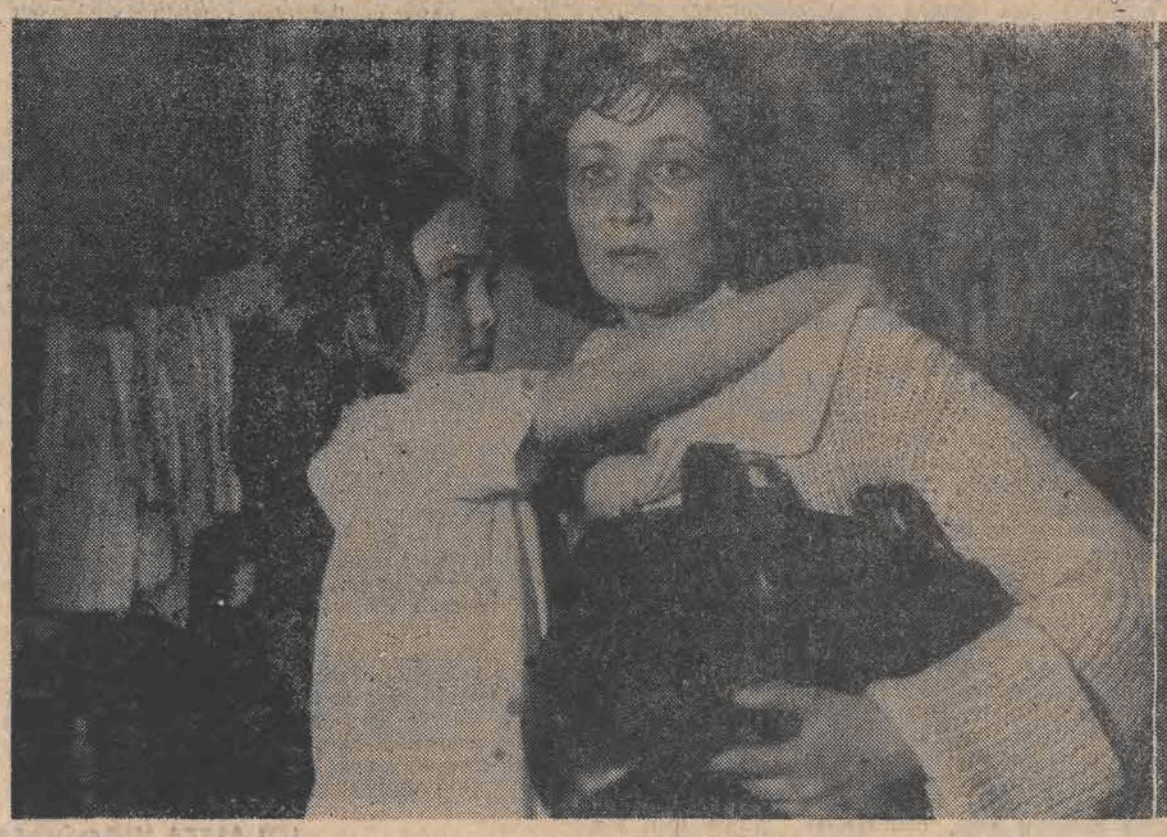

„Bez znieczulenia" — reż. A. Wajda.

„Kontrakt" — reż. K. Zanussi.

JERZY URBANKIEWICZ

„który oddzielasz dzień święty od powszedniego"

Ostry gwizd i wściekłe „Aufsteh'n!" przerwało sen Dawida. Sen był piękny, nierzeczywisty, złożony z plam i dźwięków: z pastelowych plam, na których dźwięki znaczyły się białymi, łagodnie falującymi liniami. Trzeba by paru minut spokoju i ciszy, by kompozycję plam odtworzyć w wyobraźni i wywołać z sennej pamięci śnioną melodię, a nie było spokoju. Biegali po baraku groteskowi w swojej tragicznej złości, poszczekiwali i trzaskali trzcinami po cholewach, pryczach, ludzkich ciałach, jakby chcieli wrazić w mieszkańców baraku poczucie rzeczywistości, wymazać w ich pamięci godziny snu, zapomnienia i zatrzeć marzenia senne, jeśli sobie na takie pozwolili. Naciągając palto, którego było coraz mniej, Dawid utkwił oczy w szarym prostokącie baraczne-go okna i półgłośną modlitwą witał dzień, który mógł przynieść śmierć, a na pewno przyniesie głód, ból i poniżenie:

— *Szma Isroel! Bóg jest królem prawdziwym. Słuchaj Izraelu! Wiekuisty Bóg nasz, wiekuisty jest jeden jedyny...*

— *Los, los, los!* — odepchnięty od okna, wczepił się w cudze łachmany, by nie upaść, ktoś uchwycił jego podarte palto, do tamtego przytuliła się cudza nędza, cudzy ból i cały ten kłąb ludzkich uczuć, któremu odmówiono ludzkiego miana, wytoczył się w chłód jesiennego dnia. Odsłonięte budy ciężarówek mogły wróżyć wszystko. Wiedzieli, jak wzajemną pomocą skrócić czas wdrapywania się na wysoką podłogę aut, jak skrócić czas wystawiania bezbronnych grzbietów na ciosy.

Ostatni wsiadł esesowiec z odpiętym paskiem kabury i samochody ruszyły. W podróż ostatnią, czy jedną z tych, poprzedzających tę ostatnią. Po uciekających do tyłu fasadach domów poznawali: kierunek — Wiedeń. Oto ostatnie domy Wiener Neustadt, teraz będą wille z ogródkami, w których widać oznaki normalnego życia: czysta bielizna suszące się na sznurkach, potem — lasek, kawałek zielonego pola, i zaczną się zabudowania Wiednia. Lśniące oknami, za którymi ktoś znajduje spokój, ciepło, ciszę, prawo dysponowania sobą, koszerną potrawę, sen. Otwarty prostokąt światła w tyle ciężarówki sygnalizował panoramicznymi ruchami zakręty, ujawniał koloryt innych kwartałów i dzielnic, aż lewa strona ulicy ustabilizowała się w szarość długiego muru. Sterczały nad nim fragmenty kamiennych krzyży, kamiennych głów, to znów bluszcz wypełzał zieloną falą i zwisał nad chodnikiem. Cmentarz. Chyba katolicki. W wyobraźni Dawida pojawiło się natrętne pytanie, czy w Wiedniu cmentarz katolicki sąsiaduje z żydowskim, jak w Łodzi, na Dołach. Ale uspokoiła go myśl, że nie zadawaliby sobie trudu, by szukać dla nich żydowskiego cmentarza. A kiedy samochód począł zwalniać, Dawid upewnił się, że na dziś nie szykowano im śmierci, bo nikt by nie przywoził Żydów na katolicki cmentarz, by ich tu pogrzebać.

„Zentralfriedhof". Weszli przez wspaniałą kamienną bramę, z kutymi w żelazie wrotami.

— *Bardzo solidna robota.* — pomyślał Dawid. — *Miejsce wiecznego spoczynku, które budzi zaufanie.*

Z dalekiej Łodzi przywiózł wspomnienie ogromnego, kamiennego baldachimu, pod którym w marmurowych sarkofagach spoczywali protoplaści rodu fabrykantów Poznańskich. Tu właśnie na widok tej budowli biedny krawiec z Brzezin zawołał: „Mój Boże, ci to dopiero żyją!".

— *Zresztą* — jaki on krawiec? Zwyczajny łachmaniarz. Ale czy to ma dziś znaczenie? Niemcy jednakowo traktują mnie, prawdziwego cechowego krawca, Rotholca, który jest prawdziwym profesorem i Szlomkę, który był męskim fryzjerem i któremu przed wojną nie podałbym ręki. A poza tym — co ma do roboty na solidnym katolickim cmentarzu były żydowski fryzjer? Nikt mi nie powie, że nieboszczykom w takich ładnych grobowcach niewygodnie się leży i trzeba poprawić...

Nie pomógł w rozwiązaniu zagadki widok narzędzi przywiezionych przez inną ciężarówkę: łomy, oskardy, oraz skrzynka młotków i płaskich, zakończonych z jednego końca ostrzem kawałków żelaza, na które Niemcy pomiędzy jednym szczeknięciem a drugim mówili: „Meissel". Skąd były męski krawiec mógł wiedzieć, że to się nazywa „Meissel" i do czego służy Ale Bóg wiekuisty nie zaplanował dla Dawida pracy przy pomocy młotka i tego „wihajster". Piegowaty esesowiec dał mu kilof i pchnął w kierunku uzbrojonych w łomy i kilofy. Dawid wziął narzędzie w nawykłe do igły ręce i nie wiedział, jak nieść. Przeważało stalowym dziobem, ciągnęło ku ziemi, więc najwygodniej byłoby wlec je za sobą, trzymając za koniec drewnianego trzonka. Ale wtedy rozszczekali się Niemcy i już szli prosto na niego, więc w porę zerknął na boki i wzorem innych, tych na których nie krzyczeli, założył kilof stalowym dziobem na ramię, czym upodobnił się do tych chwatów z okładki „Signal", którzy z narzędziami pracy jak z karabinami szli budować drogi wiodące do zwycięstwa. Niezgrabnym i niesk adnym ordynkiem powlekli się z tymi kilofami na ramionach główną aleją cmentarza i dobrnęli do rozstaju, na którym tkwił rozkraczony hitlerowiec. Zatrzymał ich ruchem dłoni i skrzywił się, bo to nie było sprawne „halt!", jakie wykonaliby chłopcy z okładki. Zamiast zatrzymać się od razu, ci z tyłu szli dalej, zapatrzeni w swoje myśli, póki sterczącymi do przodu trzonkami nie wparli się w plecy tych, co z przodu. Z zakłopotanym „aj-waj" cofnęli się, by przywrócić jaki taki porządek. A wtedy esesowiec z rozdroża wyjaśnił, po co te kilofy i po co tu tylu Żydów.

To co tu widzicie, to jest „Zentralfriedhof", cmentarz, jak widać, bardzo porządny, przeznaczony dla porządnych ludzi, rasy nordyckiej. Okazało się jednak, że Żydzi mają i tu swoje wtyczki. Wobec tego lokalny komitet partii postanowił zaprowadzić porządek. Zostaniecie podzieleni na grupy, każda grupa pójdzie inną aleją i przy pomocy kilofów zburzycie wszystkie nagrobki i pomniki, jakie tu zostały bezprawnie wzniesione. Poznacie je łatwo, bo każdy jest oznaczony czerwoną farbą. Trumny powynosić i poustawiać obok, to się je później wywiezie na wysypisko. Verstanden? Do roboty!

Grupkami po pięciu, pod opieką uzbrojonego esesowca poszli we wskazane alejki, by przywrócić czystość rasową miejsca wiecznego spoczynku. Wnętrze cmentarza okazało się równie okazałe i bogate jak brama. Główna aleja cmentarza na Dołach też miała swój urok, miała ogrom w grobowcu Poznańskich. Ale już Rapaportowie, Grosglikowie i Grynmachery mogli sobie pozwolić na skromniejsze grobowce, może nawet ładne, ale skromne. Niejeden przechodzień cmokał na widok kutego w żelazie ogrodzenia wokół miejsca, w którym leżał Rapaport (wełna — bawełna sp. z o.o). Ale cała reszta — to skromne kamienie z wyrytym wersetem, albo płaskorzeźbą, wyobrażającą siedmioramienny lichtarz, tu i ówdzie — symboliczna, przełamana kolumna. Szaro i monotonnie. A tu — jaka rozmaitość krzyży! Marmurowe, granitowe, metalowe ze złoceniami i bez. Jeżeli to prawda, że myśmy tego ich Pana Jezusa ukrzyżowali, to zdaje się, na drewnianym. Pomniki zmarłych i figury symboliczne. To kobieta, co komuś zamyka oczy, to chyba śmierć. Anioły z piersiami i bez. Oni, widać, też nie mają pewności jak to było z tymi aniołami. I kaplice na kształt maleńkich kościołów. Kiedy rodzina tego nieboszczyka, co ma tylko prosty kamień, patrzy na taki prywatny kościół, to jej musi być przykro. Ale nie wiem, jak na to patrzy Pan. Trzeba będzie w baraku zapytać Majzla — rabin powinien wiedzieć.

Zatrzymali się przy grobowcu, na którym siedziała kobieta w powłóczystej szacie, z zakrytą twarzą i trzymała w ręku medalion z wyobrażeniem mężczyzny z brodą. Właśnie przez cały ten medalion, przez twarz mężczyzny szła szeroka krecha czerwonej farby, maźnięcie pędzlem. Pędzel potknął się o nierówności okularów i nosa, zostawił więc więcej farby w tym miejscu, a farba, nie mogąc się utrzymać, spłynęła po policzku krwawą łzą. U stóp kobiety odlana w metalu otwarta księga patrzyła w niebo, na niej spoczywała pozornie na wieki z nią złączona maska, podobna do tych, jakie goje nakładają zimą na bale. „Doktor Arthur Schnitzler 1862—1931". Dawid przysiągłby, że gdzieś słyszał to nazwisko, ale zapomniał, gdzie.

Otwarcie grobowca szło dość łatwo. Dopiero rozmontowanie całości na części okazało się trudne. Każdy fragment był ciężki, masywny, a żaden z pracujących nie władał nigdy w życiu ani łomem, ani kilofem. Przecież nie Dawid, nie profesor Rotholc, nie Szlomka fryzjer, ani stary Berman, który był, gdyby można uniknąć tego słowa, szewcem. Ale z tyłu stał jedyny specjalista, dobrze obeznany z przyrządem, którym mógł się posłużyć, automatem, więc choć z trudem, dokonali dzieła zniszczenia i wkrótce kawałki grobowca, i trumna z tym, co zostało po doktorze Schnitzlerze, leżało obok siebie na skraju alejki i czekało na dalsze zabiegi niszczenia.

Esesowiec znudzony służbą, łaził między grobami i zaspokajał własną ciekawość. Skorzystali więc z okazji, by przysiąść obok szczątków doktora Schnitzlera i odpocząć od ciężkiego trudu likwidowania rassenschande wśród zmarłych. Dawid wybrał sobie miejsce o kilka kroków oddalone od innych. Patrzyły na niego krzyże i pomniki z tamtej strony alejki, a uwagę przyciągnęła czerwona krecha znacząca jeden z nagrobków: „Louis baron Rotschild".

— *Myślałem, że oni są tylko w Ameryce i nigdy nie umierają. A on i nie w tym kraju i nie na tym cmentarzu. Widocznie dał się ochrzcić.*

Chodziło Dawidowi po głowie wspomnienie innego neofity, nie stąd oczywiście, a z Polski. Aha, był to adwokat z dużym poczuciem humoru. Szył u Dawida frak do własnego chrztu. I on to właśnie opowiadał, że zapytał goja, czy frak będzie odpowiednim ubraniem. A goj odpowiedział:

— *My to robimy w dziecięcej, czasami nawet zasranej koszulce.*

Biedny baron Rotschild. Jak jego dusza zniesie tę eksmisję?

I oczy Dawida przesunęły się w leniwej wędrówce dalej, ku następnej skazanej figurze. Stała na wysokim piedestale, wyobrażała kobietę z naręczem kwiatów. Pochylała się. Ale nie po to, by lepiej widzieć przechodzących aleją. To był ukłon, podzięka za kwiaty i oklaski. A stała nie na zwykłym piedestale, ale na spiżowym kawałku sceny i z jej brzegu posyłała ostatni przed rozstaniem uśmiech. Dawida fascynowała dwuznaczność pożegnania. Z widownią? Z życiem? Począł szukać na piedestale nazwiska, ale czerwona krecha wlaziła na nie, rozlewała się, obejmowała wypukłe litery, wydłużała je zaciekami w dół. Można sobie było wyobrazić esesowca, policjanta, czy partyjnego hitlerowca w mundurze, jak niósł w jednej ręce listę proskrypcyjną, w drugiej kubeł z farbą, jak szukał, jak cieszył się, kiedy znalazł, że nie zawiódł zaufania zwierzchników, więc zaświadczył: „A masz, Żydu..." chlapał farbą tak, by zniszczyć choćby część tożsamości, zanim przyjdą inni i dokonają czystki. Więc i tutaj liznął pędzlem powierzchnię marmuru z satysfakcją, ukrył nazwisko, zostało imię: „Selma".

Dawida tknęło złe przeczucie. Tak źle, że nie miał odwagi podnieść się, przejść na drugą stronę wąskiej alejki, sprawdzić. Jeśliby przypuszczenie okazało się rzeczywistością, to szczodrobliwość losu w gotowaniu ludziom strasznych niespodzianek byłaby niezmierzona. Dawid nosił w sobie pewność rychłej śmierci. Jeśli nie od esesmańskiej kuli; to od czegokolwiek innego. I do pewności tej przywykł. Ale czas pomiędzy chwilą bieżącą a tamtą widział jako monotonne pasmo takich samych upokorzeń, takiej samej nędzy, takiego samego bólu. Czyżby przeoczył tę możliwość, że ta monotonia zostanie urozmaicona ciosem w serce, od którego nie zginie?

Przez lata poprzedzające wojnę wiódł życie solidnego, chyba nie najgorszego krawca. Ostatecznie ulica Sienkiewicza to parę kroków od Piotrkowskiej, więc i lokal drogi i klientela z wymaganiami. A jednak utrzymał żonę, póki żyła, dał wykształcenie córce, cieszył się szacunkiem w cechu i bóżnicy. Ciężko pracował sześć dni, jak Pan Bóg przykazał, a siódmego odpoczywał, modlił się. A kiedy kończył się czas modłów i zapłonęła pierwsza świeczka, Dawid, zgodnie ze starym zwyczajem, wypijał wino z kielicha, który się nazywa Hawdula i śpiewał pieśń, która się nazywa Hamawdil.

— *Ben kojdesz, ben kojdesz lechol... Błogosławiony§ Panie, który odróżniasz pomiędzy dniem świętym a powszednim...*

I Dawidowi robiło się koło serca ciepło od tego wina i od tego, że spełnił obowiązki religijne i jeszcze od czegoś. Mianowicie miało się wtedy dopełnić to, co było luksusem w jego życiu, przedmiotem marzenia trwającego sześć dni, jego świętem prywatnym. Nakręcał ten staroświecki gramofon z wielką tubą, z szuflady w komodzie wyjmował płytę z głosem Selmy Kurz i słuchał koncertu. Czasami wiedział, co chce usłyszeć, a czasami zdawał się na los szczęścia, wyciągał jedną z płyt, nie patrząc jaką, zakładał na talerz gramofonu, ledwo kontrolując ruchy rąk przymrużonymi oczyma, a kiedy zaszurała igła o płytę, mówił sobie:

— *Oj, Dawid, Dawid, ty nawet nie wiesz, co ona dla ciebie zaśpiewa. A jeżeli to będzie „Łucja z Lamermooru"...?*

I cieszył się, jeżeli zgadł. A już ogromną miał uciechę, jeżeli nie zgadł i Selma Kurz śpiewała coś zupełnie innego.. Bo Dawid potrafił odróżnić nie tylko szewiot od marengo. Znał niemal na pamięć melodię „Quanto ripita in estasi" z „Łucji z Lamermooru" i arię Rozyny z „Cyrulika sewilskiego" i arię Violetty „E strano, é strano", i żelazną pozycję Selmy Kurz, jaką był „Ptaszek w lesie", „Ave Maria" Gounoda i prawie cały jej repertuar, w tej przynajmniej części, której był szczęśliwym posiadaczem.

Przypadek sprawił, że głos wielkiej śpiewaczki zafascynował zwykłego krawca na całe życie. Dawid był wtedy jeszcze czeladnikiem. Do warsztatu wpadł z wielkim hałasem klient, że wprawdzie miało być gotowe na jutro, ale on dostał depeszę, że musi dziś na noc wyjechać, goły nie pojedzie, garnitur musi być na dzisiejszy wieczór. I był. Bo klient stały, wypłacalny gotówką. Więc Dawid, zamiast iść do domu, usiadł razem z majstrem, wzięli się do pracy, wykończyli, klient przyszedł jak powiedział, zapłacił, a kiedy chował resztę do portfelu, wypadł mu bilet do filharmonii.

— *Ach, ten bilet...* — powiedział. — *Szkoda, żeby się zmarnował. Panie Rabinowicz, zrób pan sobie raz przyjemność. To wielka śpiewaczka, a koncert — jutro.*

Rabinowicz uprzejmie podziękował, a kiedy klient wyszedł, powiedział:

— *Ten bilet kosztuje dziesięć złotych. A mnie jest potrzebny dobry kantor w bóżnicy, a nie żadna siksa na scenie. Dawid ja go tobie odstąpię za dwa złote, z potrąceniem z pensji, ty idź i zobacz tego koncertu.*

Dawid poszedł i zaczęła się jego pasja.

Inni narzekali na podatki, na kryzysy, na antysemityzm, a Dawid cierpliwie czekał soboty. I było mu obojętne, czy w piekarniku grzał się dla niego od piątku czulent lub gęsi pip, czy też stał tam pusty garnek. On wiedział, jaki jest sens całotygodniowej pracy i zabiegów.

Kiedy zaś przyszła wojna i zaczęło się dziać to, co się działo, zapakował płyty do skrzyneczki, a skrzyneczkę zakopał w piwnicy. Początkowo myślał: „Kiedy wrócę..." i wyobrażał sobie, jak wyciąga skrzyneczkę z ziemi, spod resztek węgla, jak rozwija płyty z gazet, którymi je owinął, jak omiata z wojennego pyłu, i wreszcie kładzie na talerz gramofonu i zgaduje, co to będzie, czym go Selma Kurz przywita po długim i bolesnym rozstaniu. A potem myślał o tym coraz rzadziej. Kiedy wieczorem zwalał się na pryczę, zasypiał słysząc znane arie w jej wykonaniu, a im było bliżej snu, tym bardziej znikały konkretne dzieła Mozarta czy Donizettiego, a dźwięczał tylko jej głos w swoich najpiękniejszych trylach. Była to ni to sama istota śpiewu Selmy Kurz, ni to własny utwór Dawida skomponowany z najpiękniejszych fragmentów śpiewanych przez nią arii, ni to kwintesencja życia Dawida, coś co dźwięczało coraz ciszej i subtelniej.

Czyżby przeoczył tę możliwość, że dostanie cios w serce i będzie z tym dokuczliwym leźwiem wbitym w splot jego najpiękniejszych uczuć żył dalej?

Dawid podciągnął się po trzonku kilofa, wstał i ciągnąc ciężar za sobą, zbliżał się do pomnika. Pod zastygłą, czerwoną farbą znaczyły się niewidoczne z daleka litery: „Kurz" Nie mógł uwierzyć, że to była prawda. Jeżeli tak, to czy Bóg wymyślał dla ludzi tak trudne sytuacje, czy też takie bywały przypadki, zbiegi okoliczności. I tego dylematu Dawid nie rozwiązał. Bo tuż za nim rozległ się wrzask, by nie udawał turysty, a brał się do roboty. Dawid usłuchał, bo przywykł do posłuszeństwa wobec silniejszego. Uniósł kilof, ale trzymając go nad głową, wykonał obrót do tyłu i wymierzył cios w esesmana. „Verfluchter Jude!" wrzasnął ten odskakując i wypuścił serię z empi w pierś Dawida.

W ciszy cmentarza ta seria zwielokrotniła się w tysiące serii i w ten sposób przez Dawida zakłócony został spokój tych, którzy tam leżeli w solidnych murowanych grobowcach, mauzoleach i kaplicach. A byli to na ogół solidni ludzie którzy poumierali, leżąc w łóżkach.

ANTONI KASPROWICZ

BALLADA SENTYMENTALNA

Nocami — srebrem
dniem — żywym błękitem
przetaczasz swoje
wody przezroczyste
od tysiącleci
żłobionym korytem
przez leśne jary
i łąki kwieciste
Wilio
wieczorem zdobiona gwiazdami
rzeko litewska
prędkopłynna rzeko
dziś cię wspominam
po latach niewoli
z cichym westchnieniem
i łzą pod powieką

Kiedy z obozu
w noc listopadową
zbiegłem
lasami klucząc i pustkowiem
ujrzałem Wilio
pod Górą Zamkową
jak księżyc w głębiach twych
pławił się nowiem
Więc głodny
drogą wileńską piaszczystą
tropem twych nurtów
płynących zakolem
szedłem by wreszcie
tułaczą swą przystań
znaleźć o zmroku
w niemenczyńskiej szkole

I dziś po latach
strapień i udręki
pragnę na twoim
wypoczywać brzegu,
pławić się w nurtach
tarzać w trawie miękkiej
i nasłuchiwać z trzcin
żabiego skrzeku
By zasłuchany
w szumy metaliczne
strzelistych sosen
przemykać wądołem
i odurzony powietrzem żywicznym
gościć w Pakośni
za karczemnym stołem
By po pijawie
i wojennym poście
litewską bielkę
zabawiać w Rudnikach
a w Niemenczynie
na drewnianym moście
beczeniem płoszyć
nocnego strażnika.

Wilio
dziś nocą
gdy księżyc olbrzymi
będzie nad lasem
pędził gwiezdne trzody
z gontyny leśnej
zbudzony Gedymin
wyjdzie podziwiać
jak toczysz swe wody.

O PANTOMIMIE PRAWIE WSZYSTKO

(Rozmowa z HENRYKIEM TOMASZEWSKIM)

W ubiegłym miesiącu gościliśmy w Łodzi Wrocławski Teatr Pantomimy, który prezentował na scenie Teatru Nowego przez pięć kolejnych wieczorów „Hamleta — ironię i żałobę" wg Szekspira. Spektakl odniósł duży sukces artystyczny na ostatnich Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, zyskując sobie uznanie publiczności i krytyków — otrzymał Nagrodę Klubu Krytyki Teatralnej im. Boya za rok 1980. Henryk Tomaszewski twórca Wrocławskiej Pantomimy zawarł w tym spektaklu swe najlepsze doświadczenia reżyserskie z poprzednich utworów — perfekcyjne wyczucie stylu i gatunku, urzekający zmysł estetyczny. Nic zatem dziwnego, że znakomity artysta wyrażając zgodę na rozmowę o pantomimie zastrzegł sobie prawo do częstego powoływania się na przykłady z tego właśnie przedstawienia, zobowiązując niżej podpisanego do kolejnej, uważnej recepcji spektaklu. Dzięki temu mogłem stwierdzić, że maleńka scena, ubogie zaplecze techniczne Teatru Nowego znacznie osłabiły wydźwięk estetyczny i ekspresję tego wysmakowanego obrazu pantomimicznego.

O POCZĄTKACH TEATRU

— Pański zespół to unikalne zjawisko w historii polskiego teatru, zarówno ze względu na niezmiennie wysoki poziom prezentacji artystycznych, wyjątkową popularność i — wierną publiczność w kraju i za granicą. Upływa ćwierć wieku od premiery I Programu (bez tytułu). Proszę przypomnieć jak narodziła się idea teatru — jakie były pierwsze założenia i czy udało się je zrealizować?

— Do 1956 r. nie mieliśmy teatru, który by pielęgnował i wykonywał tego typu formę, a i późniejsze grupy nie wprowadzały stałych rozwiązań, istniały raczej jako efemerydy, były jedynie dla pewnych twórców przygodą z pantomimą. Mój teatr istnieje już 25 lat — umocnił się, upewnił w naszej panoramie teatralnej — jest solidną instytucją. Na powstaniu teatru zaważył niewątpliwie mój rodowód artystyczny. Jestem wychowankiem szkoły teatralnej Iwo Galla w Krakowie — kształciłem się tam na aktora. W owym czasie byłem bardzo oczarowany tańcem i choreografią i dlatego niemalże równocześnie rozpocząłem naukę tańca w jednej z wielu w tamtych latach prywatnych szkół baletowych. Młodzieńcza fascynacja baletem sprawiła, że przyjąłem engagement tancerza w Operze Wrocławskiej. Jednakże po bez mała dziesięcioletniej karierze scenicznej odezwał się we mnie aktor. Skonwencjonalizowana forma wypowiedzi w balecie zanadto mnie krępowała i nie mogłem samym tańcem wyrazić tego wszystko co tkwiło we mnie i domagało się ujścia — pięć baletowych pozycji stwarzało gruby pancerz zanadto ograniczający swobodę wypowiedzi. Dążyłem do połączenia ruchu z aktorstwem, sądząc, że ten związek umożliwi mi pełniejszą afirmację artystyczną. Interesowało mnie aktorstwo bez słowa — i to sprawiło, że zająłem się pantomimą.

— Co nastąpiło dalej?

— Nie znałem ani szkół, ani kierunków, które wówczas były popularne w Europie, zwłaszcza w Paryżu — centrum światowej pantomimy. Dlatego też pantomimę skojarzyłem z formą teatru tradycyjnego. Moją wizją był teatr opowiadający pewną anegdotę, zawierającą jakieś metafory, idee wywołujące u widza zamierzone i niezamierzone asocjacje, przeżycia emocjonalne i estetyczne. Podstawowym założeniem było wydobycie i podkreślenie teatralności pantomimy. Wprowadziłem więc na scenę dekoracje, kostiumy, muzykę, grę świateł i rekwizyty, wszystko, co wtedy było poczytywane za odstępstwo od czystej pantomimy. A więc poza słowem w moich utworach znalazło się to wszystko czym dysponuje teatr dramatyczny. Od samego początku moje spektakle były widowiskami teatralnymi, które realizowałem w oparciu o cały zespół. Zerwałem z bardzo modnym wówczas szablonem eksponującym popis solistyczny. Zebrałem grupę młodych entuzjastów którzy podobnie jak ja nie wiedzieli, czy uda nam się zrealizować nasze zamysły. Nie był to eksperyment, była to próba — szukałem takiej formy, która uwzględniałaby wszystkie moje doświadczenia aktorskie. W efekcie wypracowałem sobie pewną metodę, na której bazuje aktorstwo pantomimiczne.

O METODZIE, STAŁOŚCI I WSZECHSTRONNOŚCI

— Zatem istnieje styl Tomaszewskiego...

— Wspomniałem o metodzie, którą można również określić jako szkołę. Jestem w stanie, bazując na własnych rozwiązaniach, wyszkolić nowego adepta. Już dawno zarzuciliśmy eksperymenty w tym zakresie. Wypracowaliśmy w zespole własne metody, złożyliśmy je w odpowiednie szufladki, z których korzystamy w zależności od potrzeb.

— Pana twórczość jest znamiennym przykładem stałości, wierności i konsekwencji w realizacji własnych założeń...

— No właśnie. Powstaje zawsze pytanie. — a jak to się stało, że jednak teatr stale funkcjonuje, że ówczesny zamysł nie okazał się niewiele znaczącą przygodą, próbą zaskoczenia, epatowania, pobawienia się nową formą? Jasne, że nie zakładałem, że to będzie trwało aż tak długo; nie mogłem wiedzieć, czy widz zaaprobuje tę sztukę; czy zechce przyjść do teatru po raz drugi.

— ...

— Istnieje jeszcze inna dość istotna sprawa związana z moją twórczością. Teatr, który tworzę, jest teatrem autorskim a więc akceptacja teatru jest związana z aprobatą mojej osobowości, moich wizji artystycznych, i osobistych komentarzy. Pantomima — najstarsza z form teatralnych nie ma swojej literatury — nie można sięgnąć po gotowe libretto i napisaną z myślą o nim muzyką. Każdy reżyser w tej dziedzinie jest jakby twórcą absolutnym, który kreuje wszystko, no prawie wszystko. Musi sam wyszukać temat, wyszperać odpowiednią literaturę, napisać scenariusz, przełożyć to wszystko na język mimów a co najistotniejsze, musi znaleźć w tym wszystkim głębszą motywację do własnego pantomimicznego komentarza. Poza tym trzeba być menażerem i pedagogiem, gdyż niezmiernie ważną kwestią jest wyszukanie i wykształcenie młodych ludzi, tak, by byli odpowiednio przygotowani do zadań aktorskich. W zasadzie trzeba umieć zorganizować teatr od podstaw — i od początku; należy umieć spełniać w nim wszystkie funkcje.

— Wykształciła się także w teatrze dramatycznym podobna, specyficzna specjalizacja. Jerzy Grzegorzewski również sam wyszukuje odpowiedni temat, adaptuje wybrany utwór, projektuje scenografię by wreszcie podczas pracy z aktorami (nosił się nawet z zamiarem założenia własnego studio-teatru) nadać sztuce swoją indywidualną tonację, oryginalną ekspresję i estetykę. Analogicznie postępują Wajda, Hanuszkiewicz i inni.

— Tak, można znaleźć w tym zakresie pewne podobieństwa, ale podstawowa różnica jest fakt, że aktorów muszę sobie sam przygotować, gdyż niestety nie ma w Polsce szkół pantomimicznych. W tej dziedzinie zaczyna się, jak gdyby od zera. Technika pantomimiczna jest bardzo rozbudowana, a jej pielęgnowanie wymaga ciągłej pracy, codziennego treningu.

— Na wstępie mówił pan o początkach teatru. Jakie cele stawia sobie pantomima dzisiaj?

— Idea i przesłania artystyczne teatru nie uległy zmianie, a więc korzystając z większego bagażu doświadczeń realizujemy te cele, które stawialiśmy sobie pierwotnie. Jeżeli kiedyś okaże się, że utknęliśmy w ślepym zaułku, że powtarzamy się, to jasne, że powinniśmy dążyć do odrzucenia skostniałych stereotypów, ale nie oznaczałoby to wcale, że należy odwrócić się z niesmakiem od własnego dorobku. Nowe zaistnieje jedynie jako zaspokojenie najbardziej pilnej potrzeby — potrzeby zmiany. Na razie nic takiego nie odczuwamy, nie zamierzamy eksperymentować. Jako twórca znalazłem się w bardzo szczęśliwej dla mnie sytuacji. Robię ten teatr jak go widzę i czuję, a jednocześnie zaspokajam oczekiwania widzów. Mój teatr, jak dotąd, to pełna teatralizacja pantomimy — wyakcentowanie epickości.

MÓJ PANTOMIMICZNY KOMENTARZ

— Ależ pańskie utwory to nie tylko anegdota...

— Stawiam na fabułę, na pantomimiczną opowieść właśnie ta specyficzna forma teatralna powinna, moim zdaniem, wnosić nową jakość, dopowiedzieć coś nowego, odmiennego, coś, czego inne gatunki teatralne wyartykułować nie mogą. W moich sztukach pojawia się odautorski komentarz. Na przykład „Hamleta" zaczynam od przedstawienia trupy aktorów, którzy u Szekspira pojawiają się w środku akcji. Ów teatr w teatrze jest dla mnie podstawowym przesłaniem filozoficznym spektaklu. Aktorzy zmieniają iluzję w życie, życie w iluzję, istnieją jako wieczność w teatrze — jako, że świat, wedle Szekspira, jest teatrem. Wraz z aktorami, którzy stanowią oś dramatyczną spektaklu, rozpoczynam wędrówkę w czasie. Wpierw wprowadzam widza w świat reminiscencji, a więc opowiadam, co zdarzyło się w państwie duńskim zanim zaczęło się owo znamienne, pantomimiczne przedstawienie na dworze króla Klaudiusza, a następnie prowadzę akcję, jakby w zgodzie z fabułą dramatu. Proszę również zauważyć, że Szekspir wprowadził do „Hamleta" mimów, przypisał pantomimie pewną psychologiczną siłę, detektywistyczny dar, który wpłynął znacząco na losy bohaterów. A więc tutaj po raz pierwszy dostrzegłem u Szekspira swój pantomimiczny komentarz. Tamci mimowie, mimowie Szekspira, przeistaczają się w moich aktorów — a oni przejmują dalszą grę. Życie idzie za kulisy, za parawany, a oni (moi mimowie) muszą sztukę grać dalej; muszą odkrywać to, co jest wstydliwe i głęboko schowane, to co ludzie niechętnie pokazują, o czym niechętnie mówią. Mim, jako aktor jest w szczególnie trudnej sytuacji, gdyż nie może skorzystać z szans jakie stwarza wieloznaczność słowa. Mim musi pokazać swoją myśl od razu, szczerze i otwarcie, a w najbardziej przykrych i niemiłych sytuacjach nie może odczuwać wstydu i zażenowania. — To jest ten mój punkt wyjścia w „Hamlecie", a w nim zawiera się również mój pantomimiczny komentarz. Szkoda, że czasami nie zauważa się go, ale to już mój zły los.

— Ja również w materiałach z Warszawskich Spotkań Teatralnych nie omówiłem tego przesłania.

— Moja pantomima nie polega na tym, że biorę np. Marivaux („Spór") i patrzę, jakby go przełożyć na język pantomimy. Dążę do tego, by odzwierciedlała ona głównie te asocjacje, te treści, te obrazy, które powstają podczas lektury. Do tego dążę, choć nie zawsze może mi się to udać. Chcę ponadto zwrócić uwagę na sprawę, o której nie zawsze się wie. Otóż pantomima jest sztuką opowiadającą, pokazującą człowieka w sposób naiwny. To jest chyba jej poetyka i czar. Charlie Chaplin, który przecież mówił rzeczy tak ważne i tak głębokie o człowieku, zawsze przedstawiał je w sposób strasznie naiwny, prosty — śmialiśmy się z niego. W heroicznej walce o sprawy wielkie i ostateczne, gdzieś mu się jakiś kundel przyplątywał do nogawki. Wie pan, podobnie jest z Hamletem. Chłopak przyjeżdża, żeby odbyć żałobę w sposób podniosły i uroczysty, ale ciągle ma pecha, stale mu coś w tym przeszkadza. Nawet, jak już umarł, jak go położyli, okryli i pojawiły się żałobne śpiewy, to wlazł nagle ktoś inny, ściągnął na siebie uwagę, zakłócił nastrój tragicznego patosu.

— Jak pan wie, odczytałem pana spektakl w duchu tragedii greckiej — Hamlet jawił się niemalże jako drugi Orestes.

— Tak też można odczytać mojego „Hamleta" — jest w nim wiele ambiwalentnych wątków, powaga przeplata się ze śmiesznością, patos z naiwnością. Jest to konsekwencja struktury języka pantomimy. Bo kimże jest mim? Jest to facet, który obserwuje i analizuje jak zachowuje się drugi człowiek; wnika w ludzkie śmieszności, nie lekceważy rzeczy błahych, gdyż one mogą być świadectwem głębszego namysłu. Podobnie przebiega recepcja pantomimy — odbieramy wpierw zewnętrzną, mało istotną powłokę ruchu scenicznego, dopiero później przychodzi zastanowienie i zaduma nad wykładnią pantomimicznego zapisu.

TOMASZEWSKI I WSPÓŁCZESNOŚĆ

— Stworzył pan własny, pantomimiczny język, oryginalny teatr. Jaki jest pana stosunek do współczesnych nurtów w pantomimie?

— Fundament pod współczesną pantomimę położył Emile Jacques Dalcroze, który wykładał w latach dwudziestych w Paryżu przy szkole Charlesa Dullina. Dalcroze wypracował podstawy nowoczesnej techniki pantomimicznej. Wedle tej koncepcji mim kreował postać posługując się jedynie własnym ciałem rezygnując z rekwizytu, kostiumu, a twarz zasłaniał maską. Dalcroze znajdował się pod wpływem idei nadmarionety Gordona Craiga. Jego pantomima nie sprawdziła się na scenie, ze względu na swoisty chłód, zimny świątynny nastrój wytwarzany głównie przez maskę zasłaniającą reakcję — grę twarzy. Widoczne były jedynie mechaniczne działania ciała, albowiem Dalcroze, podobnie jak Craig, dążył do wyeliminowania uczucia, sentymentalizmu, wzruszenia. Jednakże wypracowane przez niego pewne zasady biomechaniki pantomimicznej (techniką), są nadal obowiązujące i mają też zastosowanie w mojej metodzie.

Niewątpliwie nawiązuję również do osiągnięć uczniów Dalcroze: Jeana Luisa Barraulta i Marcela Marceau — obaj wiedzieli, że do widzów należy również przemówić twarzą, mimiką. Jednakże, tak tak naprawdę, każda licząca się pantomima tworzy swój własny kierunek. Niestety, współcześnie obserwuje się wiele bezkrytycznego naśladownictwa i powielania pomysłów; ale jest też sporo ambitnych zespołów, które starają się stworzyć coś własnego, oryginalnego. Spośród nich najbardziej do gustu przypadł mi szwajcarski „Mümenschanz". Mimowie tego zespołu grają zawsze w maskach. W ideologii i działaniach artystycznych nawiązują do pierwocin biologicznego istnienia, kreują postaci roślin, insektów itp. — ich skojarzenia i niepowtarzalny język pantomimiczny wywierają wielkie wrażenie.

REŻYSER, AKTOR, ROLA

— Jak dużo zależy w pana pracy od mimów, z którymi pan współpracuje?

— Każdy z nich jest określoną indywidualnością. Pantomima nie ma chóru, czy corps de ballet — każdy z mimów jest jakby solistą, tworzy partie samodzielne. Każde ciało jest inne i nawet podobne sprawy odczuwa i prezentuje inaczej. W związku z tym odrzucam zasadę uniformizmu, zasadę tak charakterystyczną dla szkolenia baletowego (lekcje); staram się wydobyć i podkreślić jedyny i niepowtarzalny charakter uwarunkowań psychoruchowych każdego mima. Oprócz wielu bardzo istotnych cech mim powinien dysponować wysubtelnioną wrażliwością — darem umiejętnej transpozycji, która potem tak trafnie wyraża się w ruchu. Ta wrażliwość wytwarza swoistą aureolę — poetykę ruchu; gra ciałem wyraża coś więcej, tworzy nowe metafizyczne, estetyczne jakości. Najwyższy stopień wtajemniczenia osiągnął Marek Oleksy — w jego grze nie ma demonstrowania techniki — on prezentuje swoją osobowość i osobowość kreowanych postaci.

— Sądzę, że Hamlet to życiowa rola Oleksego.

— Przede wszystkim postanowiliśmy tę enigmatyczną postać rozszyfrować. Hamlet jest bohaterem konfliktowym, oddziałującym wręcz sprzecznie — jest z jednej strony melancholijny, smutny, żałobny, rezygnujący, a z drugiej bardzo ostry, agresywny, ironiczny. Stwierdziłem iż Hamlet to postać łącząca w sobie nostalgię, introwertyzm smutnego Pierrota oraz przewrotność, agresję i tupet łobuzowatego Arlekina. Dzięki takim analogiom postać Hamleta stała nam się bliska, zakodowaliśmy ją w tradycyjny archetyp teatralny, a przede wszystkim odnaleźliśmy jej pantomimiczny rodowód (Pierrot i Arlekin).

— To chyba kolejny fragment z pantomimicznego komentarza do „Hamleta"...

— Naturalnie, że tak. Nie możemy poprzestać na filologicznych doświadczeniach — interpretacjach. Nowa forma inspiruje nowe skojarzenia. Mój Hamlet jest bliższy Chaplinowi aniżeli bohaterom antycznej tragedii. Takie jest moje zdanie, ale daleki jestem od narzucania go innym. Nigdy nie powiadam, że ktoś źle zinterpretował mój spektakl. Uważam, że sztuka powinna pobudzać do wieloznacznych interpretacji, powinna zostawiać odpowiedni margines dla każdej wyobraźni i fantazji.

— Wydaje mi się, że opracowanie ról wymaga długich ustaleń i rozmów.

— Musimy dyskutować i poszukiwać i wzajemnie liczyć na siebie. Najciekawsza jest pierwsza faza prób, bowiem w tym czasie mim może jeszcze sporo improwizować, wprowadzać własne rozwiązania. Nieco później, po określonej serii prób, wybieramy to, co najlepsze i te dojrzałe fragmenty utrwalamy i wplatamy w ostateczną wersję spektaklu. Opracowanie postaci jest pracą żmudną i długotrwałą. Podczas budowania roli

„Hamlet — ironia i żałoba"
Foto: J. Drankowska

Gertrudy wpadliśmy na pomysł, że królowa powinna być zrobiona na superbabkę — ujmującą i atrakcyjną, jako władca i jako kobieta. Dzięki temu widz w pełni rozumie jak bardzo Klaudiusz ją pragnie, że Hamlet coś do niej czuje i że dwór znakomicie ją widzi. Wyczytałem kiedyś, że jest taki zwyczaj na dworze angielskim, iż królowa Elżbieta zakłada suknię tylko raz. Wobec tego zasugerowałem, aby Gertruda — królowa Danii, miała na każdą okazję inną suknię, zawsze nową, zaskakującą, podkreślającą doskonałość osoby. Tak oto dochodzi się do stworzenia postaci — ale zaszczyciliśmy Klaudiuszowy dwór naszą królową, a nie królową szekspirowskich dialogów i didaskaliów.

O KRYTYCE TEATRALNEJ

— Krytycy uznali, że poprzedni program „Spór" wg „Dysputy" Pierre'a de Marivaux zachwycił prześliczną kompozycją i popisem warsztatowym reżysera. Lecz stwierdzono również, iż w tym zachwycającym spektaklu było coś pustego, a także żal, że tyle wspaniałości teatru wykorzystano jedynie na przedstawienie bałamutnego sporu dwojga arystokratów; czy ta opinia wpłynęła na to, że sięgnął pan po „Hamleta" — utwór nasycony głęboko wyrafinowaną treścią?

— Nie odczułem, żeby Marivaux był aż tak płytki. Spektakl wprawdzie opowiadał o igraszce, o przewrotnej zabawie dwojga arystokratów, ale również zawierał — afirmował i krytykował pewne filozoficzne poglądy charakterystyczne dla francuskiego Oświecenia. Wnikał w istotę relacji zachodzących między kulturą i naturą, ale też nie wyjawiał prawd głębokich i ostatecznych — ocierał się jedynie o Rousseau, krytykował jego koncepcje powrotu do natury.

— Co zatem sądzi pan o krytykach teatralnych?

— Niestety nie mamy tak dalece wyrobionych krytyków, bym jako twórca pantomimy mógł sugerować się ich opiniami. Nasi krytycy popełniają jedną dziwną rzecz — nie przynoszą ze sobą gotowości fachowego oglądania pantomimy. Ułatwiam im trochę recepcję moich utworów, adaptując na scenę dzieła znanych dramaturgów. Jednakże tworzę nową formę i nową pantomimiczną treść. Ale oni filolodzy z wykształcenia, odbierają pantomimę jako literaturę; — a przecież moja sztuka jest przekazem pozasłownym.

SPORY WOKÓŁ INSCENIZACJI „HAMLETA"

— Dotarły do mnie opinie, sugerujące, że „Hamlet" jest zbyt długim spektaklem (2,5 godz.), że zbyt wiele w nim obrazowania i dosłownej ilustracyjności...

— W zwykłym teatrze można wiele opowiedzieć słowem. Pantomima zaś przekazuje wszystko ruchami, gestyką, mimiką. Odmienna, sztuczna konwencja będzie korespondować z oczekiwaniami widza wtedy, gdy umiejętnie przedstawi fabułę — niekiedy wskazana jest dosłowność. Jeśli tego nie będzie, to widz straci kontakt zarówno z akcją sceniczną, jak i przesłaniami dzieła, a także z założeniami i komentarzem reżysera. Pantomima nie może obracać się wyłącznie w sferze metafory.

— Gdyby odnieść sposób, w jaki pan przedstawia swoje utwory, do nomenklatury i pojęć używanych w scenografii, to można by ryzykować stwierdzenie, że stosuje pan realizm iluzjonistyczny — tzn. że wprowadza pan do sztuki ogromną ilość odpowiednich szczegółów odtwarzających i komentujących treści, które jednakowoż mogą swoim ciężarem przygniatać dramat. Może warto byłoby opowiedzieć się za narracją bardziej odwołującą się do wyobraźni i sugestii, a więc pogłębić umowność konwencji pantomimy. Jest w „Hamlecie" ekscytująca, niezapomniana scena — uczta powitalna na cześć księcia, której organizacja odbiega od realizmu dworskich biesiad. Stworzył pan korowód dworzan ucztujących, jakby na marginesie sceny między kulisami, a oddaloną od nich scenografią. Jest w niej spora dawka surrealistycznej grozy i napięcia zwiastującego nieuchronność konfliktu.

— Podczas realizacji przedstawienia staram się uwzględnić możliwości percepcyjne widza. Nie zamykam się w sobie, ale wprost przeciwnie, staram się nawiązać jak najbardziej czytelny kontakt z widzem, staram się myśleć widzem. Jeśli o tym zapomnę, to widz się zgubi i powiadając „Do cholery! — Nie wiem o co chodzi!", zacznie się bać, i pójdzie sobie, i do teatru więcej nie wróci. Uważam, że w moich spektaklach ważną rolę odgrywa komentarz, a nie ma komentarza do czegoś czego nie znamy (fabuła). Jeśli przyjmę, że wszyscy znają „Hamleta" i przedstawię jedynie swoje pantomimiczne skojarzenia, to właśnie wtedy uzależnię się całkowicie od Szekspira. Jeśli natomiast opowiem angedotę po swojemu — pantomimicznie, to wtedy zyskam całkowitą autonomię.

O ADAPTACJI

— Dlatego pisze pan scenariusze...?

— Najlepiej dla mnie i dla krytyków byłoby, abym pisał własne libretta. Nie czuję się jednak do tego upoważniony, bo takich zdolności nie mam. Piszę jedynie scenariusze, ale w oparciu o literaturę znaną. Jednakże sięgam po autora, który przecież pisał nie myśląc o pantomimie.

— Jak w tym znaleźć i uzasadnić pomysł na pantomimę?

— Otóż staram się wniknąć w zamysł, w ideę poprzedzającą powstanie dramatu, w myśl, która później przybiera słowną szatę. Jednakże pierwotnie owa myśl jest wolna i niezależna i taką oto niezapisaną ideę przekładam na poetykę gestu i ruchu.

PANTOMIMA I BALET WOBEC TEATRU

— Czy w owej poetyce zawarte są elementy baletu?

— Balet jest czymś zupełnie innym — jest ruchową wykładnią muzyki. Związek tych dwóch tworzyw daje pełnię estetycznej frajdy wzmacnianej przez solistyczne popisy — arie baletowe. W mojej pantomimie nie ma samodzielnych partii, gra cały zespół, akcja sceniczna rozgrywa się w wielu planach. Poza tym, balet jako forma przedstawiająca może być, podobnie jak pantomima, spektaklem z treścią, ale też istnieje w przeciwieństwie do sztuki mimów, utwór — balet koncertujący. Symfonia baletowa może zaistnieć niezależnie od teatru. Pantomima grana poza teatrem będzie zawsze teatrem, gdyż teatr jest to przede wszystkim sprawa konfliktu, akcji. W pantomimie czynimy zawsze coś konkretnego. Nawet podnoszenie kamienia jest już mikrodramatem, anatomiczną i psychiczną mobilizacją, która poprzez gest, mimikę, ruch informuje o zmaganiach z ciężarem. Warto zwrócić uwagę na to, że współczesny teatr coraz częściej ucieka od bajek, od opowiadania zmyślonych historii, od przeobrażania się w kogoś innego — wyznacza nowe kierunki, propozycje koncentrujące się na abstrakcyjnych nieokreślonych działaniach — choćby performance. Natomiast Pantomima Wrocławska jakby pielęgnuje iluzję anegdoty, która jest osnową teatru dramatycznego.

O MUZYCE

— Muzyka w pańskich obrazach teatralnych pełni ważną funkcję. Proszę zdradzić kryteria wyboru.

— Dojście do utworu muzycznego bywa różne. Augustyn Bloch i Korzecki komponowali dla mnie na zamówienie. Odbywało się to wedle następującego schematu: wpierw robiłem szkic, który twórcy oglądali i analizowali, a później „pod stopę" pisali muzykę. Miałem dzięki temu idealny synchron. Natomiast ostatnie premiery realizowałem do gotowej muzyki, wybranej podczas przesłuchiwania własnej płytoteki (Gustaw Holst, Gabriel Fauré, Bogdan Dominik). Wydaje mi się, że potrafię znaleźć muzykę, która odpowiada klimatowi i dynamice moich obrazów. Może to być niekiedy muzyka bardzo odległa w czasie od dramatu, wedle którego powstaje zamysł pantomimy — np. Nino Rota w połączeniu z Marivaux.

— Pana zespół występuje wyłącznie do muzyki z taśmy.

— Ta taśma jest żelaznym wymogiem ekonomicznym. Nie możemy pozwolić sobie na wożenie ze sobą orkiestry, bądź zespołu kameralnego.

— Szkoda, że zespół klasy światowej nie stać na żywą muzykę.

— Można by wprowadzić perkusję, albo gitarę, bądź flet. Byłaby to jednak zbyt uboga propozycja dla dwugodzinnego spektaklu. Wolę muzykę bogatą i różnorodnie zinstrumentowaną.

INSPIRACJA I PLANY

— Jest pan wszechstronnym estetą...

— Owszem, interesuję się sztuką, poza teatrem najbardziej pociąga mnie plastyka, rzeźba, a głównie malarstwo. Przyznam, że dzieła sztuki z tych dziedzin bardzo często mnie inspirują, zapoczątkowują poszukiwanie jakichś odpowiednich wykładni w literaturze, które potem przekładam na język pantomimy. Rzadko natchnieniem jest dla mnie muzyka. Nie dlatego, że muzyka na mnie nie działa — po prostu jestem typem wzrokowca, wrażliwym na kształt, barwę, światło. Mam dużo swoich ukochanych malarzy, jedni oddziałują na mnie przy robocie, inni nie. Najbliższymi towarzyszami pracy są dla mnie manieryści. Pobudza mnie w ich dziełach dojrzałość i wyrafinowanie formy. Poza tym szczególnie bliski jest mi Malczewski. Kiedyś wystawiłem „Ogród miłości" — tu pobudził mnie Boucher. Mógłbym podać wiele takich przykładów.

— Czy pojawił się już pomysł na nową premierę?

— Obecnie przygotowuję scenariusz nawiązujący do legendy arturiańskiej; będzie to rzecz o rycerzach okrągłego stołu. Czytuję na ten temat od lat, znam wiele różnych, jakby autonomicznych opowieści podobnych w konstrukcji do „Dekamerona". W tej rycerskiej panoramie interesują mnie szczególnie trzy postaci, Perceval, Galahad i Mordred, a więc ci, którzy do stołu nie zostali dopuszczeni. Nowy program przedstawię jesienią tego roku.

Rozmawiał:
JERZY KOSIEWICZ

JAK ŻYĆ?

Latem 1976 roku, Marcel Łoziński pojechał z ekipą WFD do Borku k/Augustowa, gdzie Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej zorganizowała obóz wypoczynkowo-szkoleniowy dla młodych małżeństw. Rezultatem pobytu reżysera na jednym z turnusów jest film „Jak żyć", który 5 lat przeleżał na półce, a teraz wreszcie ujrzał światło dzienne.

Marcel Łoziński jest znanym dokumentalistą, twórcą krytycznych, przenikliwych obrazów opisujących patologiczne mechanizmy naszego życia społecznego. Jego poczynania cechuje interdyscyplinarność; jest socjologiem, interesują go także związki psychologii z polityką. Obserwacja psychologiczna, penetracja psychiki jednostki i jej otoczenia, ale i odwołanie do szerszych kontekstów społecznych i politycznych. W „Królu" (1974), „Egzaminie dojrzałości" (1977) czy „Próbie mikrofonu" (1980) — by wymienić utwory najbardziej znane — Łoziński pokazuje typy postaw i zachowań zdewastowane przez dogmaty, schematy i dyrektywy, przedstawia ludzi, którzy dawniej może byli sobą, teraz stali się bezwolni, dają sobą sterować, manipulować przez ideologicznych karierowiczów, przez system. Ponieważ zaś ci drudzy są zwykle członkami partii, organizacji społecznych, pracownikami administracji itp., a reżyser nie stosuje uproszczeń, nie kokietuje waląc całą prawdę wprost, przeto prawie wszystkie jego filmy trafiały od razu na półki.

W związku z zatrzymywaniem nie tylko jego utworów, Łoziński sformułował znaną teorię muru, polegającą z grubsza na tym, że na drodze między reżyserem a widzem stoi gruby mur, postawiony przez władze kinematografii.

W „Jak żyć", próżno by szukać odpowiedzi na tytułowe pytanie. Wręcz odwrotnie: łatwiej nam stwierdzić, jak nie należy żyć.

Sposób na idealne życie (rodzinne) znajdują organizatorzy obozu dla młodych małżeństw, ogłaszając konkurs na wzorową rodzinę. Biorą w nim udział, a raczej są niemu poddani wszyscy uczestnicy. Pojawia się tablica z punktacją, tajne jury ocenia całokształt stosunków rodzinnych. Dodatnie i ujemne punkty zdobywa się za przebywanie razem, publiczne okazywanie sobie uczuć, sprzeczki, stosunek do dzieci, obecność na apelach, udział w quizach, czystość. Zakrawa to na piramidalną paranoję, prawda? Nic z tych rzeczy. Jurorzy są śmiertelnie przejęci swą rolą w kształtowaniu idealnego modelu socjalistycznej rodziny, chodzą po campingach prowadząc „dyskretną" „obserwację uczestniczącą". Najlepsze rezultaty daje wypytywanie dzieci, czy rodzice się kochają, czy się kłócą i czy chodzą z nimi na spacery. Tak, dzieci powiedzą wszystko.

Z megafonów rozlega się w dowolnych porach: „Uwaga, uwaga, tu mówi komendant, wszyscy mają się stawić na apel...". Nieważne, je się akurat posiłek, opala, pływa czy załatwia potrzebę fizjologiczną, trzeba to natychmiast rzucić i pędzić na plac. Inaczej będą na tablicy karne punkty.

Mile płynie obozowe życie. Organizatorzy zapewnili pełny wypoczynek fizyczny i komfort psychiczny...

Łoziński zastosował interesującą metodę realizatorską polegającą na połączeniu zdjęć dokumentalnych z wątkami inscenizacyjnymi, czy po prostu sprowokowanymi. Przeplatając kreację (w pewnym sensie) i autentyczność, osiąga nową poznawczo i dramatycznie formułę.

W ramach tejże inscenizacji wprowadza reżyser rodzinę Rozhinów, której powierza zadanie przeciwstawienia się presji stosowanej przez organizatorów. Ten zabieg, jak i inne, ma na celu skondensowanie, wyjaskrawienie mechanizmów nacisku kierownictwa na obywateli, którego istnienia w tej małej społeczności oraz w społeczeństwie w ogóle — chce Łoziński dowieść.

Reakcja komendantury na bunt Rozhinów jest jednoznaczna: publiczne potępienie na apelu ich postawy. Reakcja obozu to typowy konformizm: z jednej strony chęć przypodobania się władzy, z drugiej — zemszczenie się na tych „innych", z poczucia własnej niemocy braku odwagi podjęcia takiego samego buntu. Ulegli, podporządkowani, oklaskują zwycięzców niesensownego obozu i bezsensownej rywalizacji, otrzymujących z rąk samego komendanta „nagrodę niespodziankę wartości powyżej 5 tysięcy złotych", czyli magnetofon ZK — ileś tam.

Na przykładzie małej zbiorowości prześledził Łoziński, jak pod mikroskopem, działanie systemu kar i nagród, procesy manipulowania człowiekiem słabym — takie same, jakie obowiązywały w ówczesnym życiu społecznym i politycznym.

„Jak żyć" jest metaforą uogólniającą społeczno-polityczny obraz Polaków drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Składały się nań mechanizmy destrukcji jednostki, rozkładu więzi społecznych: dogmatyzmu i schematyczności w działalności organizacyjnej, centralizm decyzyjny, prawo „góry" do ferowania wyroków i ocen, kierowanie się lub zasłanianie ideologią w oddziaływaniu na ludzi, karierowiczowstwo, konformizm, hierarchizacja ludzi w zależności od ich ustosunkowania, posiadanych układów — znamy te sprawy, obnażył je bezlitośnie Sierpień.

„Jak żyć" jest z punktu widzenia posierpniowego widza (przedsierpniowy nie mógł zobaczyć filmu, a i odebrałby go trochę inaczej) znakomitą komedią. Ze względu na wymowę moralną jest gorzkim, momentami dramatycznym, rozrachunkiem z minionego okresu.

TADEUSZ WIJATA

OPOWIADANIA SERDIUKA

Witalij Jefimowicz Serdiuk — dziennikarz, prozaik i eseista z zaprzyjaźnionego z Łodzią Iwanowa jest w naszym środowisku literackim postacią dość znaną. Obecnie, za sprawą jego najnowszej książki — **„Płomień losu"** — nadarza się kolejna okazja, by znów przypomnieć go łódzkim czytelnikom.

Serdiuk należy do pisarzy średniego pokolenia (ur. 1934 r.). Drugą wojnę światową, która stała się potem — obok problematyki obyczajowej — zasadniczym nurtem jego literackich rozważań — przeżył więc jako dziecko. Pisarskie ostrogi zdobywał pracując w organie iwanowskich komsomolców — „Leniniec". Następnie zasilił grono dziennikarzy gazety „Raboczij Kraj", z którą utrzymuje kontakt do dziś. Obecnie jest jednak związany etatowo z wydawnictwem oraz iwanowskim oddziałem Związku Pisarzy RFSRR. Jego książkowy debiut („Niezwykła") miał miejsce dość dawno — w 1964 r. W pięć lat później „Młoda Gwardia" opublikowała mu **„Opowieść o dziennikarzu"**, w rezultacie czego został przyjęty do Związku Pisarzy. Rok 1975 przyniósł czytelnikom kolejną pozycję Serdiuka — dokumentalną powieść o poległym na wojnie w 1942 r. iwanowskim poecie Mikołaju Majorowie (**„Ponad śmierć"**). W następnym roku moskiewskie wydawnictwo „Sowremiennik" wydało książkę **„A niebo, sine, sinieje"**. Dzięki przekładowi Konrada Frejdlicha Wydawnictwo Łódzkie udostępniło ją w ubiegłym roku także polskiemu czytelnikowi („A niebo błękitne, coraz błękitniejsze"). Jest to historia trudnej miłości dwojga głównych bohaterów, ukazana na tle losów samotnych kobiet, których życie osobiste zdeterminowały wydarzenia minionej wojny.

Najnowsza książka Serdiuka — **„Płomień losu"** znalazła się na półkach księgarskich w pierwszym kwartale bieżącego roku. Jest to zbiór opowiadań, częściowo publikowanych już wcześniej m. in. w prasie iwanowskiej oraz na łamach „Odgłosów". Bohaterowie tych opowiadań — to prości ludzie, którzy na własnej skórze doświadczyli wojennych przeżyć. Serdiuk patrzy na ich pogmatwane losy przez pryzmat dnia dzisiejszego, ukazując konsekwencje minionych wydarzeń oraz ich wpływ na późniejsze życie osobiste oraz pracę bohaterów i ich bliskich.

W tym niewątpliwie interesującym zbiorze znajdujemy również akcent łódzki. Stanowi go ostatnia część książki — „Powroty do Łodzi" Można ją odczytywać jako swego rodzaju podziękowanie dla Polski i łodzian za ciekawe spotkania, jakie dane mu było przeżyć w naszym kraju. A gościł on w Polsce już kilkakrotnie. Po raz pierwszy w 1969 r. — w ramach wymiany dziennikarzy, a następnie — w 1973 r. Ta druga podróż stanowiła nagrodę, którą przyznano mu w konkursie „Nasz przyjaciel — Polska Ludowa", zorganizowanym przez Zarząd Główny Turystyki Zagranicznej przy Radzie Ministrów ZSRR, przedstawicielstwo „Orbisu" w Moskwie oraz iwanowski oddział TPRP i Zarząd Pisarzy w Iwanowie. Konkursowe wspomnienia Serdiuka — **„Twarze przyjaciół"**, opublikowane w styczniu 1973 r. w gazecie „Raboczij Kraj", dotyczyły jego pierwszego pobytu w Łodzi i przyniosły mu nagrodę.

Kolejny przyjazd do miasta — pobratymca miał miejsce w 1976 r. i wiązał się z przygotowaniami do wydania książki o związkach Łodzi z Iwanowem.

W sumie okazji do ciekawych spotkań w Polsce miał Serdiuk sporo i przyznać trzeba — sądząc choćby po jego pisarskich zwierzeniach — że (z pomocą polskich przyjaciół) skrzętnie je wykorzystał. **„Powroty do Łodzi"** są luźnym zapisem tych spotkań, rejestrem najciekawszych wrażeń i spostrzeżeń autora. Fascynują go nie tylko mieszkańcy współczesnej Polski, ale i jej tragiczna przeszłość. Pisze o tym m. in. takimi oto słowy: **„Kiedy jeździsz i chodzisz po jej (...) drogach, to wydaje się, że jeździsz i chodzisz po ogromnym zespole pamiątkowym, gdzie niemalże na każdym kroku (...) obeliski, święte mogiły, pamiątkowe ruiny, tablice, nagrobki, ślady męczeństwa. I wszystkie one milcząco krzyczą o poległych, zmęczonych, spalonych, upokorzonych ludziach tej ziemi. Tutaj wydaje się, że krzyczy nawet cisza..."**

Nic więc dziwnego, że wiele czasu poświęcił Serdiuk na poznanie miejsc pamięci narodowej, zarówno w Łodzi, jak i poza nią. Refleksjami na ten temat dzieli się na kartkach swojej książki. Z jej lektury można jednakże sądzić, iż zasadniczym celem polskich wędrówek autora były spotkania z rodakami. Jest znamienne, iż zdołał dotrzeć do tych osób, które — z różnych względów — wydawały mu się szczególnie ciekawe. Mamy więc relacje z wielu bardzo osobistych spotkań z poetą, tłumaczem i lektorem języka rosyjskiego na UŁ — Wasylem Kocznowem (niedawno pisały o nim szeroko „Odgłosy"), łódzkim iwanowcem — Sergiuszem Jaśkiewiczem, staroobrzędowcem Łuką Jonikiem (na Suwalszczyźnie) oraz Dymitrem Griaznowem, u którego (we Francji) przebywał przez pewien czas w lecie 1940 r. laureat Nagrody Nobla — Iwan Bunin.

Dzień dzisiejszy bohaterów wspomnień Serdiuka jest jedynie punktem wyjścia do szerszych refleksji na temat ich przeszłości, w tym także trudnych przeżyć z okresu ostatniej wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, i ich wpływu na późniejsze losy ukazanych postaci.

Szczególną sympatią obdarzył autor w swych **„Powrotach do Łodzi"** W. Kocznowa i Piotra Goszczyńskiego z „Głosu Robotniczego", którym zawdzięcza opisane podróże i spotkania.

Wydaje się, iż **„Płomień losu"** stanowić będzie ciekawą lekturę nie tylko dla najbardziej zainteresowanych — łódzkich bohaterów.

ALBIN GŁOWACKI

HENRYK NAKIELSKI

W INTENCJI OBRONY PRAW MEGO KRAJU 7

Oddajmy zatem głos reporterowi *„Życia Literackiego"*, *Stanisławowi M. Jankowskiemu*, autorowi zamieszczonego w nr 34 tego pisma (z dnia 24 sierpnia 1980 r.) reportażu „Złoty depozyt".

„Mężczyzna ze związanymi na plecach dłońmi, z oczami zaklejonymi kilkakrotnie plastrem przewraca się na ziemię po kolejnym uderzeniu. Sypią się kopnięcia. Ofiara zaczyna jęczeć z bólu, krwawi. Oprawcy podnoszą go z podłogi garażu, sadzają na jakimś krześle.

— Gdzie jest złoto Wolskiej? — znowu powtarzają pytanie.

— Nie wiem....

— Nie powiesz, wrzucimy cię do Wisły i popłyniesz do Gdańska.

— Nie popłyniesz do Gdańska — to inny głos. — Mamy tu studnię na podwórku, tam cię zacementujemy.

Kiedy odmawia wyjaśnień na temat złota, zaczynają się dalsze tortury. Wkładają mu głowę do miednicy pełnej wody. Znowu bicie, kopnięcia, wreszcie wieszanie na wyłamanych, podciągniętych do tyłu rękach. Ostrze na grdyce (...).

Jest wtorek, 25 września 1979 r. Dochodzi północ. W garażu jakiejś willi na peryferiach Krakowa Marek Żmuda jest przekonany, że tej nocy nie przeżyje (...).

Ma odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest złoto wartości pięciu milionów złotych, które — zdaniem oprawców — ukradł z kasety swojej znajomej, Janiny Wolskiej. (...).

W dziesięć miesięcy później do krakowskiego sądu skieruje prokuratura akt oskarżenia. (...). Kim są oskarżeni?

— Janina Wolska, lat 38. W akcie oskarżenia napisano „pochodzenie robotnicze", bez zawodu, nigdzie nie pracująca, pozostająca na utrzymaniu męża" (...). Odpowiada za nakłonienie do uprowadzenia Żmudy, pozbawienia go wolności połączonego ze szczególnym udręczeniem.

— Marek Żmuda, ofiara porwania. Ma lat 45, pochodzenie społeczne robotnicze. Był sześciokrotnie karany za kradzieże i przestępstwa dewizowe. Z zawodu jest kierowcą, od kilkunastu lat nigdzie nie pracującym. Przed paru laty pisano o nim: w skrytce w „mercedesie" wywoził z Austrii do Polski złoto wartości 4 milionów złotych. Wyjaśnił, że o skrytce nie wiedział, a dopiero później okazało się, że z Wednia zabrał podobno o sześć kilogramów więcej. Dość długo szukano nawet tej niedowiezionej reszty, zarówno w Austrii, jak i w Czechosłowacji. Bez rezultatów. Mówią o nim, że w jeden wieczór w nielegalnym kasynie potrafi przegrać trzysta tysięcy złotych. Odpowiada za przywłaszczenie sobie powierzonego mu przez Wolską „skarbu", wówczas wartości czterech, a obecnie ośmiu lub więcej milionów złotych (...).

Wspólnie z nimi oskarżony jest Jerzy Maczek, lat 49, pochodzenie robotnicze, wykształcenie wyższe. Doktor chemii, kierownik działu informacji w jednym z krakowskich instytutów (...).

Gdyby ktoś zdecydował się kiedyś nakręcić film sensacyjny, powinien zrobić to według scenariusza, opisanego przez prokuratora w akcie oskarżenia. Bowiem od czerwca do września 1979 roku sprawa dwóch kaset ze złotem Janiny Wolskiej rozwijała się w sposób iście filmowy.

Czerwiec — Wolski z oszczędności nie jedzie za granicę „mercedesem", który dopiero co oddał mu znany rajdowiec Andrzej J. Zamienili się samochodami nieco wcześniej: Wolski dał „mercedesa" i 350 tys. zł, a Andrzej J. swego „porsche'a. Po jakimś czasie rozmyślił się, więc oddał „mercedesa", odebrał „porsche'a', ale pieniędzy z powrotem nie przywiózł. Wolski nie decyduje się skierować do sądu sprawy o zwrot gotówki. Jedzie „fiatem", ale dojeżdża tylko do granicy.

Dalszy przebieg wydarzeń dokładniej niż w reportażu S. M. Jankowskiego opisany jest w akcie oskarżenia. Przytaczam więc istotne dla całości sprawy jego fragmenty, zachowując zmienione, jak w reportażu, nazwiska bohaterów.

W dniu 27 czerwca, w godzinach rannych, Wolski został zatrzymany w Cieszynie przez władze graniczne. Również rano, 27 czerwca, Janina Wolska przebywała w mieszkaniu swych znajomych — Marka Żmudy i jego żony. W czasie tej wizyty do Żmudy zadzwonił ich wspólny znajomy, Jerzy Maczek, który dowiedziawszy się, że u Żmudy jest Wolska, przekazał jej telefonicznie wiadomość o zatrzymaniu na granicy jej męża. Radził jej również, aby usunęła z mieszkania wartościowe przedmioty, bowiem liczyć się musi z możliwością przeszukania mieszkania przez MO, jeśli jej mąż będzie miał sprawę karną. Wolska chciała rozmawiać z Maczkiem w tej sprawie osobiście i umówiła się z nim na ulicy, w pobliżu Instytutu, w którym pracował. Na spotkanie to wraz z Wolską przyszedł Żmuda. Maczek raz jeszcze powtórzył wiadomość o zatrzymaniu Wolskiego, odmawiając odpowiedzi, skąd to wie. W tym stanie Wolska zwróciła się do Mączka, który był jej i jej męża znajomym, aby przyjął na przechowanie jej kosztowności. Maczek wypytał dokładnie Wolską, ile posiada tych kosztowności, ale kategorycznie odmówił przyjęcia ich na przechowanie. Jednocześnie Maczek polecił jej Żmudę, twierdząc, że może on jej mienie przechować u swego wujka w Bolechowicach (...).

W sierpniu 1979 roku Janina Wolska uzyskała zwrot obu kaset od Żmudy. Nie otwierała ich jednak i nie sprawdzała zawartości. Na drugi dzień Wolski odwiedził Żmudę w mieszkaniu wspólnych znajomych i poprosił go, aby pojechał do ich mieszkania. Żmuda pojechał tam, zastał prócz Wolskich małżeństwo Maczków. W ich obecności Janina Wolska stwierdziła, iż z powierzonych mu kaset zginęło wszystko złoto w postaci monet i sztabek oraz 8—9 brylancików, (...).

Z wielokrotnych wyjaśnień Wolskiej, popartych konfrontacją z Jerzym Maczkiem wynika, iż nakłaniał on ją i jej męża do porwania Żmudy, uwięzienia go, bicia i torturowania przez łamanie kości rąk tak długo, aż ujawni prawdę. Maczek obrazował jej wysokość poniesionych strat, a także proponował wynajęcie konkretnych osób, które miałyby tak postąpić ze Żmudą. Dalszy przebieg wypadków wykazał, iż małżeństwo Wolskich zrealizowało ten pomysł Maczka, przy — jak wszystko wskazuje — jego czynnej pomocy".

Dalszy ciąg znają czytelnicy z cytowanego poprzednio fragmentu reportażu *S. M. Jankowskiego.*

Obszerne fragmenty reportażu z *„Życia Literackiego"* i z aktu oskarżenia w procesie krakowskim cytowałem oczywiście nie dlatego, by w monotonię pism urzędowych wprowadzić ożywczy wątek sensacji. Tamte pisma i ten kryminał łączy postać jednego z głównych bohaterów. Uważny czytelnik domyślił się już zapewne, że *JERZY MACZEK — DOKTOR CHEMII Z PROCESU KRAKOWSKIEGO, TO TIBOR PETRYS.*

Akt oskarżenia to oczywiście jeszcze nie wyrok. Proces w Krakowie trwa i daleko jeszcze do wyświetlenia całej prawdy o „złotym depozycie". Zresztą czy proces zdoła ją ujawnić? Dotąd nie udało się ustalić, kto był bezpośrednim wykonawcą porwanie *Żmudy. Wolski*, który uciekł w momencie aresztowania, nadal pozostaje nieuchwytny. Z zachowania głównych bohaterów dramatu można wnosić, że we wzajemnych oskarżeniach przestrzegają pilnie pewnej granicy, której przekroczyć nikt z nich nie zamierza. Nie wiadomo również, ile jest prawdy w tym, co zdecydowali się powiedzieć. Jak pisze *S. M. Jankowski:*

„Co jeszcze oskarżeni powiedzą na sali sądowej — nie wiadomo. Kogo obciążą, a z kogo zbiorą winę przekładając ją na nieobecnych?"

I dalej: *„Opuszczając areszt śledczy Janina Wolska obiecała prokuratorowi, że być może kiedyś, po latach opowie mu jak wyglądała prawda w tej sprawie".*

Trudno więc przesądzać, jaka była w niej rzeczywista rola *Tibora Petrysa*. Pewne jest jedno — że w tym środowisku, gdzie posiadane złoto mierzy się w kilogramach, gdzie nie wie się dokładnie, ile brylantów było w fiolce, bo się ich nigdy nie liczyło, w tym środowisku ludzi egzystujących na granicy prawa *Tibor Petrys* czuje się jak u siebie. Jakie jest podłoże familijnych stosunków, jakie łączą jego — doktora chemii — z przemycającym przez granicę kilogramy złota, sześciokrotnie karanym kierowcą — *Żmudą, Wolską*, jej mężem — bo przecież nie wspólne zainteresowania intelektualne.

Powróćmy jednak do przerwanej korespondencji Profesora.

20. VIII. 1980 r. Profesor do Prokuratury Rejonowej:

„Działając jako pokrzywdzony wnoszę o przeprowadzenie dowodu z informacji Zarządu Głównego ZBoWiD. (...). Jak prokuraturze wiadomo, w paszkwilu autorstwa Katarzyny Petrys i Alfonsa Wieczorka przedstawionym przez T. Petrysa w sądzie jako „dowód procesowy", wśród różnych znieslawiających mnie zarzutów był i ten, jakoby na skutek moich oszczerczych akcji Rada Państwa odmówiła rozpatrzenia wniosku o odznaczenie T. Petrysa zgłoszonego przez Wojewódzki Zarząd ZBoWiD w Krakowie. Wobec oporu prokuratury przeciw dopuszczeniu i zbadaniu obciążających T. Petrysa dowodów, zrobiłem to, co zrobić powinna, tj. zwróciłem się do Zarządu Głównego ZBoWiD. (...). Załączam odpis informacji Zarządu Głównego ZBoWiD w sprawie Petrysa".

Kopia pisma ZBoWiD w Krakowie dołączona do odpowiedzi przesłanej na ręce Profesora przez Zarząd Główny ZBoWiD:

„Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Krakowie oświadcza, że Ob. Petrys Tibor i jego żona (lub siostra). Katarzyna nigdy nie byli członkami ZBoWiD, nie posiadają też tytułu do przynależności do naszej organizacji. Nie składali oni do ZBoWiD w Krakowie żadnych wniosków o członkowstwo.

Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Krakowie nie występował nigdy dla Ob. Tibora Petrysa z wnioskiem o odznaczenie państwowe, ponieważ w/w nigdy nie był członkiem naszej organizacji".

4. IX. 1980 r. Prokuratura Rejonowa do Profesora:

„Tadeusz Gonciarz, podprokurator Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście, po rozpoznaniu wniosku zgłoszonego (...) przez pokrzywdzonego prof. dr Janusza Groszkowskiego (...). postanowił: — dopuścić zgłoszony (...). dowód z odpisu pisma sekretarza Zarządu Głównego ZBoWiD (...). Uzasadnienie: (...) należy uznać, że zawnioskowany dowód może mieć znaczenie dla toczącego się śledztwa, w szczególności w zakresie prawidłowej oceny osobowości podejrzanego oraz dotychczasowego sposobu jego życia".

29 IX. 1980 r. Postanowienie:

Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy.

Przewodnicząca — sędzia SR Barbara Sierpińska.

W sprawie przeciwko Tiborowi Petrysowi oskarżonemu o przestępstwo z art. (...). tj. o znieslawienie i obrazę z prywatnego aktu oskarżenia, wniesionego przez Profesora — (dop. H. N.) w przedmiocie dopuszczenia dowodu z biegłych psychiatrów (...) postanawia:

1. Dopuścić dowód z biegłych psychiatrów w celu zbadania oskarżonego Tibora Petrysa, albowiem istnieją wątpliwości co do jego stanu zdrowia psychicznego. (...).

Uzasadnienie: — Jak wynika z pisma Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa Śródmieście z dnia 5 września 1980 r. przeciwko oskarżonemu Tiborowi Petrysowi toczy się śledztwo w sprawie 1 Ds 197/80 (tj. o znieważenie naczelnego organu PRL — Rady Państwa w osobie Profesora — dop. H. N.) i postanowieniem Prokuratury z dnia 19. VII. 1980 r. oskarżony Petrys został umieszczony na obserwacji psychiatrycznej w Szpitalu Nowowiejskim. W związku z powyższym istnieje, zdaniem Sądu, wątpliwość co do poczytalności T. Petrysa i zachodzi konieczność zbadania go przez biegłych psychiatrów i wydania opinii co do jego stanu zdrowia psychicznego".

(c.d.n.)

Rys. Jan Kilkowski

LIKWIDATORZY SĄ WŚRÓD NAS

Nie jest nam dziś łatwo. Wiemy to wszyscy. Musimy ten kryzys przeżyć wyrzekając się wielu rzeczy, rezygnując z przyzwyczajeń, ograniczając się we wszystkim, co tylko możliwe. Chcemy być skromni i oszczędni. I słusznie. Po okresie gigantomanii i budowaniu drugiej Polski, kiedy jeszcze z pierwszą nie było najlepiej, przyszedł czas na dostrzeżenie właściwych proporcji i wymiarów. W sporcie również. Ale w tym sprowadzeniu wszystkiego do rzeczywistych potrzeb i możliwości nie można popełnić nowych błędów.

W numerze 4 „Tygodnika Solidarność" Władysław Dobrowolski z Gdańska proponuje zrezygnowanie z udziału w XXXIV Wyścigu Pokoju. Jakie ma argumenty? Pisze on:

„Czyż nie jest to w obecnej dobie pomysł szaleńczy, by marnować benzynę, żywność, pieniądze itd. na taki luksus, który zamiast propagandy nieść będzie kolejny paroksyzm oburzenia i potępienia?"

Nie wiem, skąd Władysław Dobrowolski wie, co będzie i co nieść będzie kolejny Wyścig Pokoju. Mniejsza zresztą o to. Można w ogóle uznać nasz udział w światowym życiu sportowym za niecelowy, poroniony i niepotrzebny, bo to marnowanie pieniędzy, których nie mamy. Można zawiesić wszystko na kołku i czekać lepszych czasów, a później wszystko zaczynać od zera. Takich tendencji dziś nie brakuje.

Mnie też wiele rzeczy i spraw denerwuje. Zawsze byłam przeciw wadliwym zasadom finansowania sportu. Ale z tego nie wynika, że jestem przeciw wszelakim sposobom finansowania działalności klubów sportowych. Jakieś wyjście z tego impasu trzeba przecież znaleźć. Czy mamy w ogóle zawiesić działalność wielu klubów sportowych tylko dlatego, że nam nie podobają się dotychczasowe sposoby finansowania tych klubów, że były to sposoby amoralne, aspołeczne, umożliwiające różnego rodzaju nadużycia? Myślę, że nie. Sądzę, że kryzysowa sytuacja, jaką również i sport przeżywa, powinna zmusić wszystkich do intensywnego myślenia, a nie do „szukania" najprostszych sposobów rozwiązania: po prostu zlikwidować.

„Wiem, że argumenty są przeciwne — pisze dalej Władysław Dobrowolski — bo 33-letnia tradycja, impreza międzynarodowa, przygotowana, na ukończeniu".

Istotnie Wyścig Pokoju ma bogatą tradycję. Chciałabym tu nieśmiało zwrócić uwagę, że myśl o Wyścigu Pokoju narodziła się w... 1946 roku, kiedy jeszcze nikt nie marzył „o drugiej Polsce", a wszyscy odbudowywali tę, którą odzyskali, za którą walczyli i o przyszłości której myśleli. To właśnie w Pradze, podczas bokserskiego turnieju narodów Słowiańszczyzny nieżyjący już dziś redaktor Zygmunt Dall z „Głosu Ludu", pisma PPR, rozpoczął rozmowy o przystąpieniu do organizacji Wyścigu Pokoju z przedstawicielami „Rudeho Prava". A wtedy w Polsce nie było też lekko i też można było powiedzieć, że było to wówczas mierzeniem sił na zamiary. Wyścig wystartował w 1948 roku. Brakowało nam wtedy jeszcze bardzo dużo rzeczy. Potencjał przemysłowy dopiero się rodził. Porównywać oba te okresy jest niepodobna. A przecież wówczas ludzie umieli myśleć o przyszłości. Dlaczego my dziś najchętniej myślimy o likwidowaniu? Bo to łatwiej?

Z wielu rzeczy będziemy musieli jeszcze zrezygnować. Nie mam co do tego złudzeń. Ale chodzi o to, aby rezygnować z tego, co później można szybko odbudować, aby utrzymać to wszystko, co nie może ulec przerwaniu. Wyścig Pokoju był dla nas zawsze imprezą wysokiej rangi sportowej, choć obiektywnie patrząc w skali międzynarodowej zbytnio się nie liczy. Namnożyło się bowiem różnych imprez tego typu, nasi coraz to gdzieś startują, siłą rzeczy imprezy takie tracą swoje znaczenie w miarę, jak rośnie ich liczba. Ale dla kolarstwa jest to ważne, gwarantuje mu bowiem stały rozwój. Nasi kolarze liczą się w światowej czołówce i nie można pozbawiać ich możliwości startu w jakiejkolwiek imprezie, gdyż w ten sposób cofniemy ten sport o kilka lat, które będziemy odrabiali przez kilkanaście i być może bez skutku.

Nie uważam, aby powszechny kryzys gospodarczy, moralny i społeczny nie odbił się ujemnie na rozwoju sportu w całym kraju. Musimy poważnie liczyć się z mniejszymi możliwościami startów na zagranicznych boiskach, zapraszania do siebie innych ekip, co w sumie obniżać będzie nasz poziom. Trzeba więc w myśleniu o sporcie szukać takich rozwiązań, aby ta depresja mogła być jak najmniejsza, aby tracąc pozycje umożliwić start młodym, aby ci młodzi, kiedy przyjdzie ich czas, mogli liczyć się w konkurencji. Jest to trudna rzecz tym bardziej trudna, że wychodzenie z kryzysu jest i będzie powolne oraz długotrwałe.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

JESZCZE RAZ O WIDOWISKU KRÓLIKIEWICZA

Już dawno żaden program telewizyjny nie wywołał tak powszechnego zainteresowania publicystów z jakim spotkało się widowisko Bohdana Urbankowskiego i Grzegorza Królikiewicza „O coś więcej niż przetrwanie". Można się spodziewać, iż temat widowiska i ono samo, jeszcze przez wiele tygodni, będą inspirować recenzenckie pióra. No i dobrze. Okazuje się, że telewizja niekoniecznie musi być fotoplastikonem z kolorowymi obrazkami, że może poruszać umysły i emocje, wywoływać dyskusje. Może dzięki nim nie usłyszę już pytania z jakim zetknąłem się w jednej ze szkół wyższych, pytania rezolutnej — wydawałoby się — panienki: „Grot-Rowecki? A kto to był?". Zatem wypada się cieszyć, iż postać pierwszego dowódcy Armii Krajowej wydostanie się spoza nawiasów, w jakich umieszczają ją podręczniki historii.

Nieszczęściem autorów spektaklu „O coś więcej niż przetrwanie" jest to, iż odważyli się jako pierwsi, po prawie czterdziestu latach milczenia wokół tego tematu, podjąć go i wprowadzić na powrót do powszechnej świadomości. Dotąd — Grot-Rowecki istniał w niej jako „zapluty karzeł reakcji" („Słowo Powszechne" przypomniało procesy z 1953 roku w których uniewinniono Blankę Kaczorowską, szykanowaną przez organizacje współpracujące — jak wiadomo dzisiaj — z gestapo"), bądź bywał przemilczany, lub stawał się przedmiotem zdawkowych, często fałszywych interpretacji. Oczywiście nie myślę tu o niskonakładowych i specjalistycznych opracowaniach historyków. Choć i im wiele można byłoby zarzucić. Nie one jednak wpływają na powszechną — jak powiedziałem — świadomość naszej historii.

Zatem w tej świadomościowej pustce pojawia się dzieło, które w sposób, ze wszech miar odpowiedzialny, podejmuje tragiczny epizod z dziejów polskiego podziemia. Cóż robią recenzenci? Może próbują rozumieć autonomiczny i niezależny charakter tego dzieła? Przystępują do jego analizy ze świadomością praw estetycznych i rygorów ideowych jakimi rządzi się sztuka? Uznają uprawnienia artysty do indywidualnej interpretacji materiału tematycznego, którym w swoim utworze się posłużył? Starają się rozumieć ideę? Polemizują z nią i z jej kształtem estetycznym? Pomilczmy jednoznacznie po tych pytaniach i zagladnijmy do tekstów. „Moja matka, która znała Stefana Roweckiego powiedziała po obejrzeniu widowiska, że gen. Grot ze szklanego ekranu w niczym nie przypominał prawdziwego". „Wolałbym widzieć twarz innego aktora jako twarz gen. „Życiu Literackim" czytamy: „Czy dwuczęściowe widowisko spełniło oczekiwania? Czyje: byłych podkomendnych Grota, wśród których do dzisiaj żyje legenda o tym dowódcy? Czy spełniło oczekiwania kogoś, kto chciałby dowiedzieć się kim był i co zdziałał generał podziemnej armii, wówczas największej w okupowanej Europie?" „Kim był generał Grot zanim został dowódca AK dlaczego nim został?" — zapytuja jeszcze w innych tygodnikach.

Z tych cytatów, zainteresowanych odsyłam do pełnych tekstów z gazet ostatniego tygodnia wynika że zgłoszone w nich pretensje są formą kompensacji za lata milczenia publicystyki historycznej środków masowego przekazu, oficjalnej historiografii. Wylano więc cały, nagromadzony przez lata, żal na widowisko Ubrankowskiego i Królikiewicza, żądając od nich, aby to co przedstawili było jednocześnie biografią generała Roweckiego, historią niepodległościowych walk Armii Krajowej, podręcznikiem historii i faktograficzną chronologią. Przecież trzeba nikogo przekonywać, jak absurdalne były takie oczekiwania i jak dalece są one niezbieżne z intencjami estetyczno-poznawczymi autorów widowiska telewizyjnego. Napisałem dwa tygodnie temu: „Widowisko Grzegorza Królikiewicza nie jest teatrem faktu, ale teatrem idei wspierających się na faktach, teatrem ścierających się racji świadomościowych, także dramatyczna konfrontacja postaw etycznych, moralnych, narodowych". Dodam dzisiaj: „O coś więcej niż przetrwanie" jest także historiozoficzną rekonstrukcją polskiego etosu w którym należy widzieć i patriotyzm, i umiłowanie wolności, i głęboki humanitaryzm, a także honor, odpowiedzialność za innych i poświęcenie. Etos ten w spektaklu został przeciwstawiony racjom najeźdźcy, hitlerowskiej bucie, poczuciu rasowej wyższości i dominacji cywilizacyjnej. Zdaje sobie sprawę, że pojęcia takie jak etos, honor, patriotyzm, odpowiedzialność mogą brzmieć nazbyt emfatycznie. Patos ów wielokrotnie pobrzmiewał w przeszłości fałszywą nutą, co nie znaczy, że musi tak być zawsze.

Swoją drogą można mieć pretensje do telewizyjnych redaktorów, że wprowadzając na ekran widowisko B. Urbankowskiego i G. Królikiewicza, nie zechcieli uzupełnić je audycją, która przybliżyłaby telewidzom historyczne konteksty tak samej Armii Krajowej, jak i jej dziejów i dowodców. Mniej byłoby wówczas nieporozumień recenzenckich, ansów konsultantów, a więcej pożytku dla tych, którzy o Grocie-Roweckim usłyszeli po raz pierwszy. Amerykańskim „Korzeniom" towarzyszyła cała kampania telewizyjnej perswazji, widowisku Królikiewicza tylko informacja, że powstało w 1978 roku. Czy „Skarbiec" jeszcze istnieje? To co robi?

Ostatnie pytania wzięły się stąd, iż podobno oglądamy program tv w nowym układzie ramowym. Na Boga, gdybym o tym nie przeczytał w „Antenie" ani w głowie by mi nie powstała taka myśl. Może ktoś z telewizyjnych decydentów powie coś więcej na temat tej nowej „ramówki"?

GRZEGORZ GAZDA

INTRYGA IDZIE DO GÓRY?

Słynna piosenka strażnika lasów królewskich Kokla, której refren kończy się słowami: „Intryga idzie do góry, a zasługa upada", zawiera treść gorzką. Jakże może bez goryczy spoglądać na życie prawy, uczciwy człowiek, którego trud i dzielność nie były nigdy dostrzeżone i uznane, podczas gdy na jego oczach nagradzano tych, którzy niczym sobie na takie wyróżnienie nie zasłużyli? Intryga, spryt, cwaniactwo, oto cechy liczące się w negatywnej selekcji.

Może zbyt często dopatrujemy się w dawnych tekstach współczesnej wymowy, może basniowy charakter sztuki Wojciecha Bogusławskiego „Henryk VI na łowach" nie jest dość nośny, by się w nim dopatrywać aktualnej wymowy? Takie wątpliwości nachodziły mnie podczas oglądania poniedziałkowego spektaklu Telewizji Łódzkiej. Szybko się jednak rozwiały.

W obecnym trudnym okresie, jaki przeżywamy, każdy głos w obronie cnót obywatelskich musi rezonować ze współczesnością. Gdy Bogusławski wystawiał swego „Henryka VI", w 1792 roku w Warszawie, sytuacja w kraju była niezmiernie ciężka. Trudno wprawdzie szukać analogii wprost z czasem obecnym, ale i wtedy w obliczu panoszącej się konfederacji targowickiej, upadku autorytetu władzy, szerzącej się korupcji i przekupstwa, niesprawiedliwości i egoizmu, potrzebny był głos rozsądku i patriotycznej troski o losy ojczyzny.

Taką właśnie wymowę ma pozornie błaha komedia, której akcję autor ulokował ze względów cenzuralnych w Anglii i to Anglii piętnastowiecznej. Nikt jednak w autetyczność tej Anglii nie wierzy, a Henryka VI z dynastii Lankastrów tradycyjnie już ubiera się w kostium, w jakim mógł chadzać Stanisław August Poniatowski. Pod adresem ostatniego króla polskiego zawarł też Bogusławski szereg rad i apeli, wzywających nieszczęsnego władcę do zbliżenia się do narodu i oparcia się w rządzeniu państwem o najlepsze jego siły.

Zdajemy sobie sprawę z tego, jak nieskuteczny był ten głos tuż przed rozbiorem Polski, kiedy los jej był już właściwie przesądzony. Inaczej dziś. Los kraju jest w naszych rękach, a walka o jego lepszą przyszłość trwa na wszystkich odcinkach. Poczciwa ramota Bogusławskiego, miejscami przesadnie dydaktyczna i niewolna od mielizn treściowych i dramaturgicznych, skłania przecież do zadumy nad sprawami kraju. Zwłaszcza w atmosferze świątecznej, gdy więcej mamy czasu do namysłu.

Spektakl przygotowany w telewizji przez Ryszarda Baera w oprawie plastycznej Iwony Zaborowskiej i nadany w drugi dzień Wielkiejnocy pomagał nam w tych refleksjach w sposób dyskretny, nie narzucający się tanią aluzyjnością. Główny akcent położony został przez realizatorów na pastelowy wdzięk i stylowość sztuki. Nawet obiektywnie ponure sprawy, jak uwiedzenie wiejskiej dziewczyny przez dumnego panka, prowadzącego hulaszczy tryb życia i korzystającego z bezkarności z uwagi na pokrewieństwo z wysokim dostojnikiem (skąd my to znamy?), albo jak próba wtargnięcia najemnych żołdaków i pogwałcenia nietykalności domostwa wolnego obywatela, a więc nawet te niekomediowe w gruncie rzeczy wydarzenia, podawane były w formie lekkiej, żartobliwej, jakby ze świadomością, że w świecie baśniowym wszystko zmierzać musi do szczęśliwego i sprawiedliwego zakończenia.

Kluczową dla rozwiązania konfliktu w sztuce, a zarazem najbardziej nośną dla posłania, jakie zawarł w swej komedii Wojciech Bogusławski jest scena przybycia króla Henryka do domu strażnika Kokla. Monarcha, nie rozpoznany przez zgromadzoną tam rodzinę leśniczego jak legendarny kalif Harun Ar-Raszid, który w przebraniu przemierzać miał kraj, by poznać życie i bolączki swych poddanych, dowiaduje się z ust Kokla o niesprawiedliwości, jaka dzieje się narzeczonej jego syna, Betsy. Nie to jest jednak najważniejsze. Król otrzymuje od swego prostego poddanego lekcję rządzenia.

Ta lekcja, udzielona Henrykowi w sposób nieświadomy, przyjęta jest przez króla z humorem, ale i w dużym skupieniu. Jak widać Henryk nie bywał dotąd w takich okolicznościach. Otoczony tłumem dworaków i intrygantów nie miał okazji zetknąć się z życiem prostych obywateli, nie znał cnót i mądrości, jaką rodzą uczciwa praca i sumienne wykonywanie obowiązków. Wszystkie uroki nieskomplikowanego i niewybrednego życia zafascynowały króla. Wydaje się że odtąd panować będzie lepiej, mając na uwadze dobro nie tylko wybranych, ale wszystkich swych obywateli. I choć podniesienie Kokla i jego rodziny do stanu szlacheckiego nie zmieni niczego w strukturze państwa, to przecież będzie symbolem określonej zmiany, jaka zaszła w samym władcy.

Scena powyższa, głównie dzięki grze Mieczysława Voita, który w roli Henryka błysnął swym wybitnym talentem aktorskim, wypadła w przedstawieniu tak właśnie, jak powinna. Stała się jego klamrą i ozdobą. Kontrapunktem dla niej była powtórzona na koniec spektaklu piosenka Kokla doskonale interpretowana przez Bogusława Sochnackiego, przestrzegająca jakby przed zbytnim optymizmem...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy": al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 1a w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-163 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 907 K-2.